Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII — Warszawa, dn. 5. XI. 1950 r. — Nr 44 (275)

TADEUSZ ŁOMNICKI

„KTO—KOGO?"

(Fragment sztuki)

Akt II

Ceśka: (wbiega) Józek nie wrócił?

Galisiakowa: Nie.

Ceśka: Co teraz będzie. Wydało się. Ignorkowa stonkę znalazla, zebrała baby i wiedzie całom kompanię na pola...

Galisiakowa: Bogaczki rajwachu narobiom...

Cesia: Nie same bogate, nasze tyż za niom lecom, widziałam przecie.

I. (biegną) Kaśka prędzej!

II. Pali się?

Cesia: Widzieliście, Bartkowa poleciała, Nastka Ignorkowa specyjalnie nasze baby omotała.

Madej: Alež to głupi naród.

III. (biegną) Będzie głód!

IV. Od zarazy wyginiemy!

V. Pelcia, na rany święte, Staszek został się w kołysce.

VI. Co z Ignorkom?

VII. Zbił jom Kuba...

VII. Prędzej baby, nie ociągać się!

Madej: A naszych nie ma, żeby ich uspokoić!

Cesia: Myśli kto o tym. Na polach ino huczy.

Galsiak. Jak balina dziób roztworzy, to się prawda spać położy... Głupie babisko ta Nastka.

Cesia: Co ja mam zrobić?

Madej: A Zetempy od czego?

Cesia: Chłopcy wyjdom stonki szukać, będzie się robić planowo.... tak rzeknął Józek, wyjeżdżając, ale co z ludźmi zrobić? Nastka sie tak rozwrzeszczała, że Kuba nam coś wyrychtuje.

Galisiakowa: Te psiekrwie o głodzie zacznom gadać. Naszych poruszom. Po co to wszystko, Józek przyjechał by i...

Cesia: (chce wybiec).

Galisiakowa: Ceśka, gdzie lecisz? Jeszcze cie sponiewierajom, rozparzone takie.

Cesia: Wypadkiem, jakby Józek wrócił, niech zaraz do nas przychodzi, do Zetempowców. (wybiega).

Galisiakowa: A jak to pędzom. (woła) Kobity dokąd lecicie?

I. Z babami na pole!

II. Nie odzywaj się do niej, niech syna spyta! W spółdzielni ludzie som mądrzejsi.

Madej: Daj spokój i tak nie poradzisz... wydało sie.

Galisiakowa: Chłopy biegnom

Madejowa: (wpada z chłopami). Kozik i Detko som tu?

Madej: A cóżby tu robili?

Kuba: Józka zawołajcie!

Madejowa: W mieście jest.

Kuba: Klucze od kasy macie?

Madej: Komisja ma.

Kuba: (zbliżając się do kasy) Licho silne!

Madej: Odstąpcie.

Kuba: Nie drzyjcie sie. Całe życie jedna była gromada w Owczarach, to teraz w w y p a d k u tyż tak będzie. Pieniądze dostaną wszyscy!

Madej: Gnoju od wos spółdzielnia nie kupuje, to i forsy nie dostaniecie. Odstąpcie stąd zaroz, bo chłopów zawołom.

Kuba: Widzicie go, sami znajdziemy komisje. Otworzom, wypłacom i już. Szarpać się tu z byle kim nie będziemy. (wychodzą).

Galisiak: Chytry chłop ten Kuba i pyskata jucha!

Cesia: (wbiega) Dobierali się do kasy?

Madej: Przegnałem bandę.

Madejowa: Na rany boskie, Ceśka, co się dzieje!?

Cesia: Chcom pieniądze z kasy wydostać i rozdać między wszystkich we wsi.

Galisiak: A co nasi?

Cesia: Trochę się opierajom, ale... A kto ma klucze od kasy — tylko Józek?

Madej: Ja mam i jeszcze ktoś z chłopów — niby jeden klucz ma komisja.

Cesia: Chyba kasy nie otworzą, jak myślicie?

Madej: Na najgorsze trza być przygotowany.

Madejowa: Nie otworzom.

Cesia: Bogacze chcom chwile wykorzystać i zniszczyć Jóżkowi plany— dlatego niech tam chrzestny dobrze baczy.

Madej: Nie bój sie.

Cesia: Gdzie oni poszli?

Galisiakowa: Po Zarząd. Kluczów szukać.

Madej: Niech szukają (pokazuje kasę). Tam i tak nic nie ma ani centa.

Cesia: A jak by się pytali, o niczym nie wiecie i szlus.

Galisiak: Ceśka nie biegnij tak szybko, bo się na wesele osłabisz.

Cesia: Osłabne, a Jóżkowi planów scharatować nie dam. O wieś chodzi, nie o mnie. (wybiega)

Galisiakowa: A jak sie zapytajom, po co Józek do miasta pojechał?

Madej: Wielka rzecz. Po prezenta pojechał.

Madejowa. Spytajom, co z pieniędzmi zrobił?

Galisiakowa: Powiózł do banku.

Madej: Nie martwcie się. W ostateczności prawde można powiedzieć, przecież o stonce już wiedzom... A pieniędzy w kasie trzymoć nie można Regulamin i już.

Kuba: (wbiega z Bartkiem i Wawrzkiem oraz innymi chłopami). Mogliście odrazu mówić kto ma klucze.

Wawrzek: Chłopy, tak nie można!

Kuba: Otwieraj Bartek. Weźmiemy jako pożyczkę. Przejdzie głód to oddamy.

Madej: Wara stąd; Przyjdą z zarządu, to wtedy wam pozwolą. Inaczej o pięć kroków od kasy. Już!

Wawrzek: Kuba, nie głupiej do reszty. To jest rzecz poważna. Trzeba zwołać zarząd, chłopów. Niech się zejdom, pomedytujemy... przecież to społeczna sprawa i wsi, i spółdzielni.

Bartek: Tak samo mówiłem, pocoście mnie tu przywlekli. Nie otworzę!

Kuba: Niech wom będzie, chodźcie po resztę (wyszli).

Madej: Co takie ścierwo narobi we wsi!

Galisiakowa: To nie on, to Nastka! Jakby tu przyszła, to bym tak strzaskała go po gębie, że nie wiem... Ale... a co tu robi Wawrzek? Widzieliście go razem z Kubą?

Nastka (wbiega) Był tu mój?

Madej: A był.

Madejowa: Macie interes?

Nastka: Józek pieniądze niech szykuje, po zimnicki pojadom... Cóż wy tacy spokojni, wiecie co się dzieje. Stonka zeżarła pól pola, na ćwierci morgów uschły łęciny. Same badyle ostały.

Galisiakowa: Mówcie ciszej, bo się zakrzyczycie na śmierć.

Madejowa: Kto to widział taki krzyk robić?

Nastka: Jak nie robić krzyku, kiej wojna będzie. Małom to przeżyła i wybiedowała. Chłopa mi zabrali na wojnę, tom sie dwa roki bez niego obchodziła. Po Węgrzech się cholera włóczył. Mam być spokojna. Jeszcze wczoraj Kuba mówi, chałupę przed zimą trza postawić. Zdrzemnąć sie trudno było po jego mowie. Ach, jakie życie... Cóżeście takie nadęte. Tak i tak nikt by pieniędzy nie oglądał. Spółdzielnia by zacharabczyła. A teraz i wy dostaniecie i nam sie coś dostanie.

Galisiak: Komitet wam wczoraj wypłacił, jeszcze sie wam zachciewa?

Nastka: Mało. Co to znaczy wobec głodu i wojny?

Madej: Kto powiedział, że będzie wojna?

Nastka: Sama wiem. Już ja swój rozum mam.

Madejowa: Wiecie co, idźcie stąd, grzecznie mówię, bo będzie bida.

Nastka: Grozić chcecie? Tych paru groszy skąpicie? Oddamy, nie bojcie sie.

Madej: Tu nie jarmak. My sie z wami targować nie będziemy, przyjdą z zarządu, osądzom...

Galisiakowa: A tych głupich herezji nie rozgadujcie, bo...

Nastka: ...bo co... po milicje poślecie? Wszyscy tak myślom. Jak pieniędzy zarząd nie da to sie do gardła rzucom. Kuba wie co ma robić, mówiłam — każdy sie chce ratować. (wybiega)

Galisiakowa: Bez wstydu babisko... Gnój sprzedawała i żeby to człowiekowi po sąsiedzku taniej, gdzie tam... teraz zła jak osa, bo spółdzielnia ino od swoich kupuje.

Madej: Skąd oni te wojne wykombinowali?

Galisiak: Wyczytali w gazecie, że w Niemczech auroplany gadzinę rzucajom i myślą, że u nos to samo.

Madejowa: Och, klęska okropna.

Madej: Podwójna. Na bulwie robak złoży jaja i będzie z tego poczwarka. Zeżre cały miąższ, a potem znowu robak gotowy wyjdzie i na przechadce sukinsyn, amerykańskie nasienie, pożera zielone. Łęcina uschnie i pole w 6 tygodni może być do niczego...

Kuba: (wchodzi z chłopami) Wchodźcie, wchodźcie wszyscy ...jak kupą, to kupą.

Madejowa: Toż to sami bogacze...

Kuba: Jak widzicie, przyszło nas więcej.

Madej: Pięknie. Izbę wam na posiedzenie odstąpię.

Kuba: Waszych jeszcze nie ma, mieli przyjść?

Madej: Jak widzicie.

Kuba: Zaczekamy. Naradziemy się przed tym nim przyjdom. Potem otwieramy, płacimy i zgoda. Żadna to kradzież, nam sie tak samo należy, jak innym. Kto nie chce, może nie brać. Podzielimy sie po sprawiedliwości. Kto bierze, ręka do góry. (podnoszą)

Madej: Kurek bogaty, niech innym doda.

Kurek: Nie podjudzajcie stary... co wy o mnie wicie, nędza, aż piszczy.

Galisiak: Nima komu gnoju sprzedawać?

Kuba: Nie wasza rzecz. W zarządzie nie jesteście, to nie gadajcie.

Madej: Ale izba moja.

Kuba: Zachciało sie Józkowi wieś odbudowywać, to i gości ma, interesantów nielichych.

Madej: Tego nie mówie...

Kurek: Mimo spółdzielni wykopyrtnąć sie łatwo, uważajcie!

Kuba: Cicho Kurek, niech se gada. Zobaczymy, co powie po obrachnukach z roku, jak do gęby nie będzie miał co włożyć.

Madej: Skąd ty taki pewny?

Kuba: Nie widzę? Spółdzielnia ma deficyt, wiadomo.

Galisiak: Rok 12 ma miesięcy, a zły prorok nic pieniędzy.

Kuba: Przed nauczycielem chwalcie sie swojom mądrością, tu go nie ma, bo i analfabetów nie ma.

Galisiakowa: Analfabetów, nieuku pieroński.

Kuba: Ty draniu, będziesz mi ubliżała... ty?

Madej: Kuba, róbcie swoje, ino mi gości w domu nie napastujcie!

Kuba: Straszycie? Ho,ho, sami zaczynacie swary, a gospodarzom nie wypada względem gości... Zobacz tam który, czy nie nadchodzą.

Kardus: Długo tak będziemy czekać?

Mrozik: Mówże Kuba wreszcie, jak to dzielić będziemy.

Kuba: Zwyczajnie: pogorzelcom większy procent, niespalonym mniejszy. (wchodzi paru) Nie widać nikogo?

Suter: Nic

Kuba: Tak procentowo, jak wam się wydaje?

Kardus: Po sprawiedliwości to ino spółdzielniami zachamencom dużo pieniędzy, dla nas mało zostanie!

Kurek: Prawde mówi, o sobie musimy myśleć — po równym.

Kuba: Uspokójcie sie, tyle weźmiemy, żeby głodówke przebidować. (wchodzą baby i chłopi) Spółdzielnia w komplecie. A zarząd gdzie?

Bartek: Radzom.

Kuba: My na wesele też nie przyszli. Uradzimy może bez nich lepiej Słuchajcie, dzielimy tak..

Kobieta. Cóż tak pokrzykujesz Ignorek, forsa jest nasza, spółdzielni i my będziemy dzielić.... a że wy też potrzebujecie, to wam na ciężkie czasy pożyczkę kapniemy.

Wojtochno: Mądrze, mądrze, Bartek, ile w kasie?

Bartek: Razem przeszło czterysta.

Ptachno: Klucze masz?

Bartek: Som, ale bez zarządu nie otworzę. Nawet nie wiem czy wolno.

Kuba: Nie nadgaduj Bartek, tak czy tak, ino rób. Potrzeba cię rozgrzesza i już.

Cesia (wbiega): Przepuśćcie... no, co sie tu dzieje... Bartek co to znaczy, jakim prawem te ludzie sie tu znajdujom. Dlaczego nie ma tu nikogo z zarządu ani z partyi. Puśćcie mnie! (chłopi stoją i niepuszczają).

Cesia: Ed-e-ek! Po Kozika i po towarzysza Detke biegnij... ino hyżo!

Edek: Dobra jest!

Cesia: Ignorko, czego wy chcecie, pieniędzy?

Kuba: Tak by sie zdawało.

Cesia: Zamiast baby zorganizować, by szukały szkodnika na polach, to wy łotrostwa uprawiacie!

Kuba: Uważaj! Nie lżyj takimi słowami.

Cesia: Jak nie prawda, to bijcie mnie za to! No!

Mrozik: Nie wydziwoj, bo chociaż kobita, oberwać możesz.

Kuba: Cicho tam chłopy. Niech se krzyczy, my sie i tak nie ruszymy.

Cesia: Towarzysze, a wy po co? Mitala, Kowalik, Ptachno, godzi się to przerywać pracę?

Baba: Forse dawać majom, to my przyszyli.

Cesia: Kto powiedział?

Głosy: Kuba!

Cesia: Ale zarządu nie zawołał.

Kuba: Szukałem, nie było nikogo.

Cesia: To jakim prawem ludzi zwołujesz?

Kuba: Nie wydziwuj Ceśka... wojna sie święci — głód grozi...

Cesia: Kto wam to powiedział? Sami żyjecie na świecie, czy co? Żadnej wojny nie ma... Józek pojechał do miasta, żeby o robactwie zameldować, a nam zetempowcom przykazał, żebyśmy rozpoczęli oczyszczenie pól brygadą i was ze wsi do wspólnej roboty wciągnęli. A wy co? Wy zamiast na pole — lecicie do kasy? I to nie własnej, tylko spółdzielni? Robicie panikę? Stonka się dopiero pokazała, to skąd wiecie ile będzie strat i u kogo? Powariowaliście? Ej, wy tu ryjecie jak krety. Wam nie o ziemniaki i nie o zarazę idzie, ale o okazję aby krzykiem i strachem zachamęcić spółdzielcze pieniądze na wasze prywatne stodoły.

Kurek: Widzicie ją. Józusia narzeczonego nie ma, to narzeczona ważna! Jak nas prezes spółdzielni nie uczy, to zetempowskie jajko.

Kuba: Ty, Ceśka, chcesz głód rachować? Jak stonka jest to głód bedzie. Jak sie rachować później, kiej wojna bedzie, o cem nawet w gazetach pisało.

(dokończenie na str. 2)

A. F. KIRŁO-NOWACZYK

POZDRAWIAM RĘCE

Ludzie, co z remiz wyprowadzają traktory,
ci, co w głębinach ziemi dobywają węgiel,
ci, co odgruzowują spalone miasta,
ci, co budują pomniki bohaterom —
są ludźmi nowego czasu.
Bowiem ręka spoczywająca na kole sterowym,
ręka uzbrojona w wiertarkę i kilof
i ta dzierżąca szpadel,
i ta, co dłutem nadaje bryłom ludzkie oblicze,
trudem naprężonych palców
zamienia pustynie w kwitnące oazy.
Pozdrawiam ręce tych,
którym przyszłość zarysowuje się jak gmach
pełen radosnego gwaru i światła.

W PIERWSZYM ROKU PLANU 6-LETNIEGO

Dzień dobry! Dzień dobry, towarzysze!
Jak się macie? Co u was nowego?
Pono z rozmachem weszliście, jak słyszę
w pierwszy rok planu sześcioletniego.

To się wam chwali, towarzyszu wójcie
i nie żal niedospanych nocy,
kiedy się nowe poczyna w trudzie
i światłością napiera w oczy.

Trudny bywa krok pierwszy — wiadomo —
ale kiedy głowa nie od parady,
kiedy się myślą weszło już świadomą,
to już tylko iść dalej — nie da rady!

Wraz z myślą czyn nasz będzie dojrzewać
w pełny, rumiany owoc —
wiadomo, towarzyszu, gęba nie cholewa
kiedy rozum kieruje głową.

Oto się dziejów odwraca karta,
żeby u nas dobrze właśnie — nie inaczej —
patrzy na was towarzysze Partia,
naród patrzy!



Rys. Stefan Gierowski

„KTO—KOGO?"

(dokończenie ze str. 1-ej)

Cesia: Po co kłamiesz kułaku! W gazetach stało, że te hycle amerykańskie na Niemcy puścili z samolotu robaki a wiatr doniósł do nas, ale gdzie tu wojna? Ludzie, towarzysze, patrzcie, jakiego ten przemądrzały kułak odwala głupka. Nieboraczek, niby nic nie wie, że na całym świecią krzyczą miliony przeciw wszelkiemu morderstwu i wojnie, zjazdy, zebrania się odbywają w sprawie pokoju, apel będziem podpisywać, a ten...

Bartek: Zarząd idzie. Puśćcie. (wchodzą: Kozik, Detko, Wrona, Chorda i paru innych).

Cesia: W samom porę towarzysze!

Kozik (do Bartka) Czegoście wcześniej nie zawezwali?

Bartek: Zagadali mnie, no i...

Kazik: No i co? Kase byś otworzył, bo cie zagadali! A wisz jakom władze sprawujesz w komisji, dziadu pierońskj? Spółdzielnie byś wykantował, skarbnika byś na szaro zrobił, a Józek by do kryminału poszedł... bo cie zagadali. Gdzie som klucze. (podaje) No, co? Towarzyszu Detko, coś mi sie pomieszało w oczach, nie każdy z nich do sppółdzielnia należy... prawda?

Detko: Jest tu sporo i spółdzielnianych.

Kozik: Sprawę do nos jakomś macie?

Kuba: Nie udawajcie Kozik, że o niczym nie wiecie. Głód będzie, to my przyszli o swój procent sie upominać na ratowanie dzieciaków. Szczerze mówmy. Jak gromada, to gromada.

Kozik: Ty mi tu o gromadzie nie gadaj, żadnych pieniędzy nie płacimy. Stodoły macie pełne. Przychówek jest.

Suter: Zazdrość wam?

Detko: Prosze sie nie wydzierać, obywatelu. Zaraz znać, że na zebrania na chodzicie, do głosu trzeba sie zgłaszać.

Kozik: Nikomu nie zazdrościmy, a kase mamy swojom.

Kuba: To nie dacie?

Kozik: Mówiłem już. Towarzyszu Detko, chcecie coś powiedzieć.

Detko: Prosze o opuszczenie izby bo sie wnet siekiere w powietrzu zawiesi. Zostajom ino sami ze spółdzielni.

Kuba: Chłopy, nie wychodzimy, dzielić sie bedom między sobą.

Mrozik: Teroz im nie poradzimy, mają już swoją głowę i pieniądze ich, to choćby nam oddali nasz udział — na każdego drobno wypadnie. Daj spokój Kuba. Niech im ością w gardle stanie.

Baba: Pewnie, chodźcie. Nazbieramy robaków i w pola im puścimy.

Bugaj: Bedom mieli pieniądze, to ich głód ominie. (do chłopa ze spółdzielni) Puszczoj ty bogaczu bez morgów. Wychodzimy przecie.

Kuba: Nie wychodzić!

Baba: Chodź, Kuba, te chytrusy kota odwrócom ogonem i jeszcze kogo zamknom, nie przystoi człowiekowi z łajnem sie zadawać.

Kuba: Takeście sie żarli, tak pyskowali, a teraz odchodzicie? Ja swoje mam, niech szlag trafi... ale ty, Kozik, będziesz jeszcze w potrzebie.

Kozik: Może bede, od ciebie na pewno nie wezme, zmoro.

Nastka: Kuba jest? Ile dostoł? Puśćcie, puśćcie... po wiele płacom?

Baba: A ino płacom... z kwitkiem odprawiajom.

Nastka: Niemożebne. Gdzie Kuba — wisz, że w naszym kartoflisku robaka Maryśka znalazła! Groza, dlaczego nie płacom?

Detko: Proszę nie krzyczeć i proszę wychodzić!

Nastka: W domu se rozkazuj, doj forse to pójde.

Kuba: Chodź Nastka, nic nie wydusisz!

Nastka: Odejdź pókim spokojna (wyciąga rękę) piniendze tu, dawać!

Kuba: Nastka, do jasnej cholery, chodź!

Nastka: Ogłupiło cie, czy co? Krów se dokupimy, łazęgo! Jak sie te kase otwiera?

Detko: Odejdź stąd obywatelko!

Nastka: Jak gromada, to gromada, jak ratunek, to ratunek — człowiek, człowiekowi pomóc musi, wojna będzie, z głodu dzieci wymrą... Ludzie do serca wam mówie.

Kuba: Gęby ci nie stanie... a gronia nie wydusisz.

Nastka: Nie pójde!

Kuba: Chodź do jasnej Anielki, nie opieraj sie!

Nastka: Mówiłam, żeby zarządu nie wołać, bo ci gówno dadzom, coś narobił, a masz draniu pieroński, zawsześ mądrzejszy.

Kuba: Ty... (wypycha ją) gnaty ci poprzetrącom... Ty!

Cesia: (gdy zostali sami spółdzielcy). Z tego wszystkiego ino sie między sobom pobijom i tyle bedzie.

Ptachno: No to jak towarzysze, co robimy?

Kozik: Towarzysze, serce mnie boli, jak patrze na was, i powiedzieć wstyd. Patrze, patrze, a tu głowa w głowę głupia, jak but. Jaki głód wam grozi? Za tymi bogaczami ciągniecie, co pokapować nie mogom niczego ino dutki po kątach liczom. Oni do pieniędzy spółdzielni? Nie sfiksowany naród? Za takimi ludźmi idziecie — i na przeciw własnego dobra! Oni by was na rzemyku za nic sprzedali. A co Józek wczoraj mówił? Te pieniądze **na budowę!** Kto chce w tej sprawie co podzieć? (cisza) Towarzyszu Detko, może wy co powiecie?

Detko: Towarzysze i spółdzielcy. Wstyd to wielki dać sobie głowę zawrócić. Ale kto ją nam zawrócił — stawiam pytanie. Czy tylko ludzie ze wsi? Czy to tylko robota takiego kułaka, Kuby? Przecież dzisiaj zetempowcy mieli wyjść na pole. Zarząd miał ogłosić pojawienie się stonki, pobudzić ludzi ze wsi do wspólnej walki, przy okazji dać polityczne naświetlenie sytuacji międzynarodowej. Sprawa leżała w naszych rękach, Kto ją nam z rąk wytrącił? Tu podobno już z pierwszymi chłopami ze wsi przylecieli nasi spółdzielcy: Mitała, Kowalik, Ptachno — kto was wołał, Kuba?

Ptachno: Nie, Wawrzek.

Galisiakowa. To my wiemy. Kuba się dowiedział od żony, a Ignorka od Wawrzka, od naszego spółdzielcy.

Detko: Ach tak? A za czem był Wawrzek?

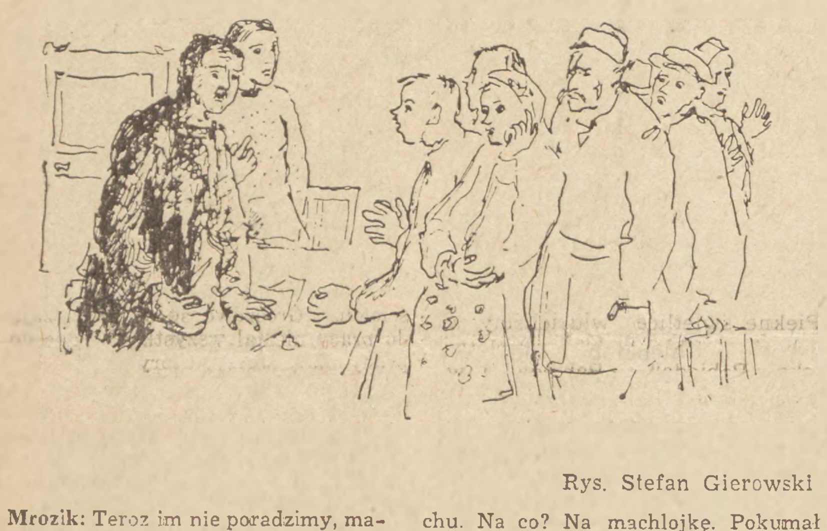
Cesia: Za rozdaniem pieniędzy. On pilnował Kuby, aby Kuba najbardziej uroczyście nam głowę zawrócił. **Wieś i spółdzielnia to jedna gromada,** na takim jechał koniku.

Detko: Towarzysze, to ja wam powiem, co mi rzekł na odjezdnem Józek. Teraz to już mogę powiedzieć publicznie. Znacie Wawrzka, to nasz średniak. Ale taki **niewyraźny** średniak. Ziemi miał więcej, ale że bagnista, nieużytku dużo, więc średniak. Jego przeszłość? Zawsze był „interesant". Handlował swego czasu gęśmi, miał sklepik. Przy spółdzielni samopomocy zwinął go, ale to dusza niespokojna... za interesami. Dlaczego poszedł do spółdzielni? Na wsi wywarło to duże wrażenie i dla nas korzystne. Ale teraz nie pomylę się, jeśli powiem, że liczył na meliorację, a w rezultacie na gruby dochód z wkładu swych morgów.

A teraz co mi Józek powiedział. Wawrzek chciał pożyczyć spółdzielnianych pieniędzy, 50 tysięcy, oczywiście po cichu. Na co? Na machlojkę. Pokumał się w tartaku i nieawizowany wagon drzewa chciał kupić, aby go opylić. Józek go sklął, a on co, zamiast otrzeźwieć, chciał dzisiaj wywołać panikę głodu i wojny, aby nasz fundusz rozdano i on, Wawrzek choć za 20 tysięcy zrobiłby drański interes.

Towarzysze! Teraz idziemy pielić stonkę. Ale kiedy Józek wróci, nasze zebranie tę sprawę musi rozstrząsnąć i wyciągnąć konsekwencje oraz naukę dla nas — spółdzielców!

Tadeusz Łomnicki



Rys. Stefan Gierowski

SAMUEL SANDLER

POWRÓT I SPOTKANIE

MOŻNA powiedzieć, — pisał jeden ze współczesnych Henrykowi Kamieńskiemu — że żadna książka w Księstwie tyle czytaną nie była, co „Prawdy żywotne". Doszła ona do wszystkich warstw społeczeństwa i niezaprzeczenie najbardziej umysły ludu, mianowicie mieszczan do rewolucji usposobiła". Cóż, że jest to relacja nieomal ucznia Kamieńskiego — Władysława Kosińskiego, który twierdził, że przez niego wyprowadzony był do ruchu niepodległościowego, do działalności politycznej?

Dzieła Kamieńskiego, zwłaszcza „Prawdy żywotne narodu polskiego" (1844 r.) oraz „Katechizm demokratyczny" (1843 r.) zawierały w sobie treści, wobec których nikt nie mógł w Polsce pozostać obojętny. Kamiński dokonywał bezlitosnego obrachunku z przeszłością Polski pańszczyźnianej i niewoli chłopskiej, z żelazną logiką obracał ograniczoność stanową ruchów niepodległościowych w przeszłości i współczesnych sobie, kreślił perspektywy walki o Polskę ludową, uzasadniał bezskuteczność walk wyzwoleńczych pozbawionych treści rewolucyjnej, wypracowywał strategię i taktykę powstania — rewolucji społecznej.

Książki jego budziły gniew i oburzenie, sympatie i naśladownictwo. Szlachecki reakcjonista i poeta — Krasiński dostrzegł w nich widmo rzezi i terroru. Nieliczni czytelnicy chłopscy widzieli w „Prawdach" uzupełnienie wskazań swego przewodnika — ks. Ściegiennego. Obóz szlachecko-niepodległościowy dojrzał w Kamieńskim niebezpiecznego przeciwnika; usiłował z nim walczyć i bezskutecznie paktować. Carski zaborca mimo, że nie zdołał wykryć w nim niebezpiecznego spiskowca, właściciela pseudonimu „Prawdowski" i autora „Prawd żywotnych" i „Katechizmu demokratycznego" wysyła go jednak na wygnanie do Wiatki.

Wszystko to czyni z Kamieńskiego pasjonującą postać naszej historii demokratyczno-rewolucyjnych ruchów społecznych. A jakaż dysproporcja między tym fenomenem naszych dziejów poprzedniego stulecia, a wiedzą o nim posiadanej?

Dwie lub trzy sprzeczne ze sobą monografie o Kamieńskim, parę przyczynków wnoszących już poza tym niewiele do naszej wiedzy o nim, kilka stron w Limanowskiego „Historii demokracji polskiej' oraz w „Historii ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r." — to wszystko lub prawie wszystko. Ostatnie wznowienie jedynej z prac Kamieńskiego pochodzi bodaj z 1911 roku. Dopiero po wojnie ukazał się w popularnym wydaniu skromny wybór pism Kamieńskiego z właściwym komentarzem, ułatwiającym zrozumienie jego roli historycznej.

— Jak słusznie stwierdza Leon Przemski — tajemnica żałosnego stanu badań nad autorem „Prawd żywotnych", niedocenianie, lub przemilczanie go wynika w dużej mierze z wrogiej mu postawy historyków minionej doby. To co bezsprzecznie stanowi o jego wielkości, nieprzejednany radykalizm społeczny i zdecydowana postawa rewolucyjna niewątpliwie odstręczały konserwatywnych badaczy mieszczańskich. Ale ubóstwo źródeł, pozostałych świadectw konspiracji mieszczańskiej i rewolucyjno-demokratycznej połowy XIX wieku w Królestwie odgrywa tu również niepoślednią rolę.

Pisarz podejmujący trud artystycznego ukazania sylwetki żywego Kamieńskiego napotyka więc na bardzo istotne trudności. Z jednej strony grozi mu fragmentaryczność przedstawienia „bohatera", z drugiej zaś — stworzenie fikcyjnej relacji o postaci historycznej, której urzekającą oryginalność Przemski zamierzył właśnie ukazać możliwie nawierniej. Autor opowieści biograficznej o Kamieńskim pisze w posłowiu do swej książki *): „Uważałem, że będzie mniejszą, krzywdą dla Kamieńskiego, jeżeli tam, gdzie historia jego życia wykazuje luki, sylwetka jego wypadnie raczej tylko blisko prawdy niż prawdziwa, raczej żywa niż wierna..."

Przemski zatem nie wyrzeka się artystycznego kształtowania postaci i jednostkowych losów autora „Prawd żywotnych", ale wierność historycznej rzeczywistości czyni najistotniejszym kanonem estetycznym. Jak sądzę, jest to najsłuszniejsza droga twórczości realistycznej w zakresie t. zw. powieściopisarstwa historycznego.

*

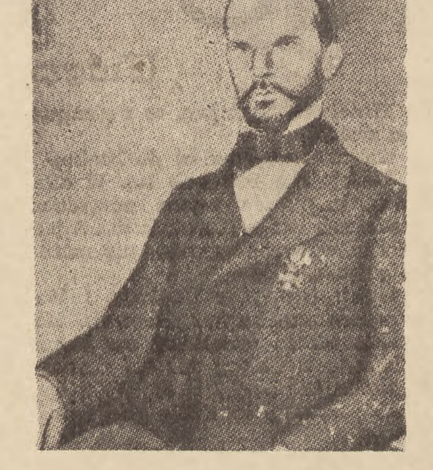
Urok pięknej książki Przemskiego wyróżnionej niedawno państwową nagrodą literacką, tkwi przede wszystkim w artystycznie trafnym ukazaniu indywidualnych losów Kamieńskiego splecionych ze współczesnymi mu wydarzeniami, w ukazaniu Kamieńskiego żywego, umieszczonego w swej epoce. Wagę tego stwierdzenia najłatwiej sobie uprzytomnimy przypomnieniem raz jeszcze trudności pisarza, jego borykanie się z brakiem realiów.

Autor, nie uciekając się do retuszowania ograniczoności ideowej i połowiczności Kamieńskiego — rewolucjonisty obciążonego tradycją szlachecką, której nie umiał do końca przezwyciężyć, zdołał w sposób umiejętny, zgodny z marksistowską wiedzą o ruchach rewolucyjno-demokratycznych tamtego okresu, ukazać całą nieprzeciętność swego bohatera, jego imponującą, mimo wszystko przenikliwość społeczną. Więcej, celnie zdołał stworzyć artystyczną konstrukcję tego, co nazywamy społecznym doświadczeniem Kamieńskiego, obiektywnym źródłem postawy ideowej.

Nie ulegając schematyzmowi, Przemski uwydatnił doniosłą rolę historyczną obozu, którego ideowym przedstawicielem był autor „Prawd żywotnych".

Lenin pisał: „Póki masy ludowe Rosji i większości krajów słowiańskich pogrążone były jeszcze w głębokim śnie, póki w krajach tych nie było samodzielnych masowych ruchów demokratycznych, póty szlachecki ruch wyzwoleńczy w Polsce nabierał olbrzymiego, pierwszorzędnego znaczenia ze stanowiska demokracji, nie tylko ogólnorosyjskiej, nie tylko ogólnosłowiańskiej, ale i ogólnoeuropejskiej".

Wyjątkowość Kamieńskiego, bojownika „szlacheckiego ruchu wyzwoleńczego w Polsce" polega właśnie na tym, że był jego najradykalniejszy ideologiem, że w jego dziełach zawarte są już elementy przezwyciężenia klasowej ograniczoności tego ruchu. Dostrzegamy w nich niekonsekwencje, połowiczność — to prawda. Pragnął „szlachecki ruch wyzwoleńczy" zespolić z „samodzielnym masowym ruchem demokratycznym". Utopijne dążenie? Niewątpliwie. Ale wielkość Kamieńskiego polega na tym, że do jego świadomości docierała już kruchość tych projektów i działań praktycznych. Konstruując strategię powstania narodowego i podkreślając nieodzowność połączenia go z rewolucją demokratyczną, z wyzwoleniem społeczno-ekonomicznym chłopstwa, przewidywał możliwość kontrrewolucyjnego działania klas dotąd uciskających, ale przekonanie o patriotycznej postawie szlachty doprowadzało go do złudzeń solidarnościowych, do wiary w możliwość jak pisał „rewolucji społecznej w powszechnej całego narodu jedności". Równocześnie jednak pouczał o konieczności „terroryzmu" rewolucyjnego, który powinien dosięgnąć nie tylko jednostki, „ale całych klas, gdyby przedstawiać miały kontrrewolucyjną masę".



Henryk Kamieński

*

Przemski w swojej książce unika raczej metody ukazywania Kamieńskiego poprzez jego pisma, błędu od którego częstokroć nie są wolne inne współczesne opowieści, czy powieści biograficzne. Posuwa się nawet do stworzenia bardzo osobistych fikcyjnych listów z zesłania, w których „licentia poetica" ogranicza się do samej formy wypowiedzi, treść natomiast odpowiada wiernie sądom i przekonaniom hołdowanym przez Kamieńskiego. Ten zespół środków artystycznych, do którego należą partie dialogowe raczej „bliskie prawdy niż prawdziwe", bezpośrednie ukazywanie Kamieńskiego w epizodach podyktowanych logiką artystycznej konstrukcji a twórczo wydobytych z luźnych danych i wątłych relacji, sprawia, że Przemski zdołał stworzyć sylwetkę żywą i plastyczną. Książka o Kamieńskim — i to jest jej największą zasługą — ożywia w naszej świadomości pamięć o wielkim rewolucjoniście, o świadomym ideologu międzynarodowej walki sił rewolucyjnych przeciwko despotyzmowi. Uczyniła go nam bliskim, zrozumiałym.

Mimo pozornej paradoksalności nie waham się twierdzić, że książka Przemskiego tkwi głęboko w naszej współczesności. Przenikliwe spojrzenie w przeszłość, artystycznie celne ukazanie perypetii najbardziej radykalnego przedstawiciela szlacheckiego obozu wyzwoleńczego w Polsce połowy dziewiętnastego wieku wzbogaca bowiem naszą wiedzę o walkach i trudach dnia dzisiejszego. Kamieński nigdy — jak wyraża się o nim metaforycznie autor opowieści — nie spotkał się na swej drodze życiowej z Marksem, nie przyswoił sobie jego wielkiej nauki dającej najsłuszniejsze odpowiedzi na trapiące go problemy. Kamieński nie zdołał zerwać w sposób ostateczny z klasą, z której wyszedł i której sytuacja historyczna ograniczała i tak niebywale rozległe horyzonty jego myśli.

Dopiero spadkobiercy i realizatorzy wskazań twórcy naukowego socjalizmu umiejący dokonać ścisłego rozrachunku z przeszłością, z tradycją minionych czasów, zdolni zrozumieć i umiłować wszystko co było w nich wielkiego i bliskiego walce o postęp, wyznaczyli spotkanie genialnemu nauczycielowi rewolucji proletariackiej z polskim szermierzem wyzwolenia społeczno-narodowego. Głęboko wzruszające są ostatnie partie książki Przemskiego zawierające relację o wydaniu przez bojowników Wolnej Francji w roku 1943 skrótu „Wojny ludowej" Kamieńskiego opatrzonej tytułem "L'insurraction est nu art" („Powstanie jest sztuką") zaczerpniętym z Marksa.

Spotkanie to — jeśli już pozostać przy tej metaforze — symbolizuje wielkość Kamieńskiego, którą zdolni jesteśmy współcześnie dostrzec za całą jego połowicznością, niekonsekwencją. Jest w tym i zasługa pięknej książki Przemskego ożywającej nam tę postać, wydobywającej ją z krzywdzącego zapomnienia.

*

Czy ne dostrzegamy braków w książce o Henryku Kamieńskim? Sądzę, że nie jest ona od nich wolna. Sugestia dzieł „bohatera" przy równoczesnym ubóstwie źródeł spowodowała zapewnie te wady w rysuuku sylwetki Kamieńskiego, które wywołują wrażenie potraktowania go jako jednostki zbyt kontemplacyjnej, biernej. Kłóci się to nawet z tymi znikomymi relacjami, które przechowały się o Kamieńskim — działaczu i być może czołowym kierowniku nielegalnego Związku Narodu Polskiego. Gdy przedstawiciel szlacheckich działaczy niepodległościowych Poznańskiego — Guttry pertraktuje z Kamieńskim o podział „strefy wpływów ideowych" czytelnik opowieści Przemskiego sądzi, że ma do czynienia ze zwyczajną fanfaronadą, chociaż tradycja, dane istotnie szczupłe, sugerować mogą odmienną interpretację tego epizodu. Może Guttry nie przeceniał roli Kamieńskiego w ruchu konspiracyjnym?

Pewne zastrzeżenia budzi również zbyt schematyczna interpretacja połowiczości radykalizmu Kamieńskiego wywodzonej w sposób uproszczony o osobistej, materialnej więzi ze szlachtą. Z więzi przejawiającej się w posiadaniu przez autora „Prawd" pańszczyźnianej wsi — Rudy.

Innego rodzaju wadą pewnych partii opowieści, zwłaszcza początkowych jest nadmierna retoryczność niektórych ustępów oraz rażąca konwencjonalność niektórych scen np. majaków sennych Kamieńskiego w cytadeli i scena z Paprockim — współwięźniem.

Wzmiankując o pewnych wadach książki — niektóre z nich napewno mogą być jeszcze przedmiotem sporu — trzeba przypomnieć, że nie mogą one przesłaniać niewspółmiernych wartości opowieści Przemskiego, cennego osiągnięcia naszej literatury ostatnich czasów.

Samuel Sandler

*) Leon Przemski: Henryk Kamieński. Państwowy Instytut Wydawniczy. 1949 r. Str. 267.

SEWERYN SKULSKI

PODEJMIEMY PIEŚŃ MASOWĄ

WIADOMO, że i piosenka w słowach i melodii wyraża kulturę narodu. Nie przypadkowo powiedziane jest w programie planu sześcioletniego, że walce o większą wydajność z każdego ha, o rozbudowę przemysłu, komunikacji, dróg — będzie towarzyszyła walka o rozbudowę urządzeń kulturalnych. Przez umasowienie dobrej pieśni, muzyki, teatru wszczepiamy kulturę w masy pracujące. W naszej społeczno - literackiej prasie coraz konkretniejsze ukazują się na ten temat wypowiedzi. Wymowną jest praca Zofii Lissy, zamieszczona w pierwszym numerze „Muzyki" na miesiąc kwiecień 1950 r.

Autorka w swoim artykule („Raz jeszcze o polską pieśń masową") zwraca baczną uwagę na kształtowanie się pieśni ludowej w Związku Radzieckim. Zauważmy, co mówi Zofia Lissa:

„W kształtowaniu się radzieckiej pieśni masowej szczególnie ciekawym zjawiskiem jest *przerastanie* pieśni ludowej w nową pieśń masową. Tak właśnie powstawały pierwsze pieśni Czerwonej Armii. Wpierw podkładano pod znane melodie ludowe nowe aktualne teksty, zmieniając ich pierwotny rytm na marszowy. Potem kompozytorzy świadomie chwytali najbardziej popularne, obiegowe motywy przetwarzając je na nowe treścią i formą pieśni masowe. Takie przerastanie folkloru (w różnych jego postaciach) w pieśń masową widzimy u Kastalskiego. Wajew-Bugłaja, Dawidenki, Łobaczowa i in. Liczne pieśni Dymitra Pokrassa, które uzyskały tak wielką i trwałą popularność utkane są właśnie z motywów folkloru ukraińskiego i południowo - rosyjskiego. Powodzenie pieśni Dunajewskiego w połowie lat 30 miało swoje źródło w tego samego typu inwencji melodycznej, którą kompozytor umiejętnie kojarzył z pewnymi wpływami filmowo - jazzowej piosenki. Z wiejskim folklorem najbardziej związana jest twórczość Włodzimierza Zacharowa, wieloletniego kierownika zespołu chóralnego im. Piatnickiego. Repertuar tego zespołu, który kultywuje głównie oryginalne pieśni środkowo-rosyjskich rejonów (Woroneża, Kaługi, Moskwy) a zwłaszcza oryginalna ludowa polifonia tak dalece przeniknęły w własny styl kompozytorski Zacharowa, że liczne jego pieśni kursują po kraju, powszechnie przyjmowane jako *ludowe*".

Na samo wykolebanie się masowej pieśni ludowej dziś czekać nie możemy, zespół ludzi znających naszą ludową kulturę muzyczną winien opracować, czerpiąc z tego źródła, nowe pieśni. Budowa nowych form życia społecznego, łożenie podwalin pod socjalizm, nowy stosunek do pracy, współzawodnictwo, przechodzenie naszej wsi z form gospodarki indywidualnej do wyższego stopnia gospodarki zespołowej, czas w których młodzież chłopsko-robotnicza ma wszelkie możliwości kształcenia się, a każda szczera i oddana Polsce praca ma szansę awansu, kiedy kobieta przy mężczyźnie w budowie Polski staje z kielnią, siada na traktor, awansuje na dyrektora, gdy z miłującymi pokój narodami świata i światową klasą robotniczą walczymy o trwały pokój, gdy wkroczyliśmy w pierwszy rok naszego planu sześcioletniego — wszystko to woła o nową głośną, mocną a piękną pieśń.

Mamy chyba o czym śpiewać?

Czyż nie utrwalić nam w pieśni tego momentu, gdy po zgłoszeniu zgody przez ludność wiejską na spółdzielnię produkcyjną, traktor wychodzi na pola i pruje pługami przez miedze, odwieczne swary, kłótnie, bójki, procesy i nędzę naszą.

Pstrowskiego już nie ma, ale tysiące Pstrowskich zajęło jego miejsce, o tym pierwszym Pstrowskim przez długie lata winna żyć masowa pieśń. Małorolna i ciemna wczoraj chłopka z Białostockiego, po kursie analfabetów, dziś siada i pisze list do redakcji, pisze jak się panoszy kumoterstwo w ich spółdzielni gminnej, jak wróg klasowy wcisnął się do spółdzielni na szkodę mało i średniorolnym, na szkodę państwu ludowemu. Korespondencja okazała się prawdą, wróg został usunięty. Jak nie śpiewać o tej walce wiejskiej?!

Nie wszystko przekreślamy co minęło. Co było pięknym i wartościowym, poniesiem dalej w pieśni, muzyce i literaturze. Z przeszłości naszej, także możemy wiele zaczerpnąć i umasowić. Jesteśmy na drodze do społeczeństwa bezklasowego, gdzie każdy z nas będzie miał wartość człowieczą i będzie się czuł dziedzicem wszystkiego piękna jakie było, jest i w przyszłości będzie.

Pieśń zwycięża i buduje, wzmacnia i jest siłą. Żołnierz radziecki pod Stalingradem, Moskwą, Kurskiem i pod Berlinem miał tę samą na ustach piosenkę masową, śpiewaną na całym froncie walki i ona pomagała najmocniej opancerzone dywizje zgruchotać. Nasi rewolucjoniści szli pod szubienice za rządów cara i za sanacji pod mur z pieśnią ludu pracującego na ustach.

Kiedy za sanacji dziecko chłopskie i to dziecko bogatszego chłopa mogło ukończyć tylko czterooddziałową szkółkę a fornalskie musiało obyć się bez szkoły, dziś te dawniej pogardzone dzieci, bezrolnych, małorolnych i dawnej dworskiej służby po ukończeniu siedmioklasowej szkoły podstawowej idą do szkół zawodowych i gimnazjum. I to właśnie decyduje o przewadze nowych poglądów i dążeń. Dziś taki szesnastoletni młodzieniec lub dziewczyna uczęszczająca do gimnazjum, umie własnym rodzicom wyjaśnić absurdalność zabobonów, przesądów i podsuwa im realne prawdy o życiu. Bądźmy też pewni tego, że ta młodzież dziś nie nadstawi ucha płytkim i „tłustym" piosenkom na starą modę, szukać będzie pieśni pięknych i czeka na takie.

Przed wojną, gdy nasza luzem i bez szkoły chodząca młodzież poczęła przyśpiewywać „piosenki" to trzeba było uszy zatykać i usuwać się, bo wstyd człowieka ogarniał. To samo było z przechodzącymi żołnierzami przez wieś. Dziś jak wiemy i w wojsku naszym jest inaczej. Żołnierz z ludem a lud z żołnierzem i bez wątpienia ta sama umasowiona piosenka będzie lubiana tak samo przez cywila jak i żołnierza. Dziś pieśń wyrażająca naszą walkę i trud jak fala rozleje się po kraju. Dziś gdy mamy tysiące świetlic robotniczych szkolnych i pozaszkolnych, świetlic gromadzkich, świetlic PGR i świetlic spółdzielni produkcyjnych, gdy mamy w kraju liczne chóry i koła śpiewacze, liczne orkiestry robotnicze i wiejskie, potężną prasę rozchodzącą się w kilku milionach egzemplarzy, gdy gazeta na wsi stała się chlebem codziennym, gdy wieś nauczyła się czytać i już inną nie będzie, gdy mamy wreszcie setki tysięcy głośników radiowych.

Po pobycie w Stanach Zjednoczonych przez ćwierć wieku, dziś uprzytamniam sobie jak burżuazja amerykańska używała wszystkich środków, jakimi rozporządzała do umasowienia pieśni, ale jakiej pieśni? „Wujek Tomasz wąsy ma". „Katarzyna kręci się i kręci", „Kochana pocałuj mnie", „Bananów nie mamy dziś". Same tytuły tych piosenek świadczą, czym one były — trucizną dla mas.

My w kraju demokracji ludowej nie mamy powodów do robienia imitacji kultury. Kulturę naszą będziemy udoskonalać tak samo jak i każdą dziedzinę naszego życia. Dlatego też i pieśń będziemy taką umasawiać, która buduje, bogaci nas o nowe treści ludzkie, o treści człowieka socjalizmu.

Seweryn Skulski

W poprzednim numerze

GERD SEMMER*)

W ODPOWIEDZI RUDOLFOWI LEONHARDOWI*)

Żyjemy w takim świecie, gdzie się znów samemu
czyści buty i szuka przeróżnych wybiegów
dla zdobycia kawałka chleba i garsteczki
ziemniaków i drewienek na jedną rozpałkę.
Żyjemy w świecie dziwnie trudnym i zawiłym
I śledź, proszę, uważnie, gdzie on nas zawlecze.

Lecz nieprawda, że dzisiaj w tym niełatwym świecie
zamieszkuje wyłącznie nędza, krzywda, głód —
mieszka tu i nadzieja —
a wiem, że realna —
gdyż uniwersytety utartych gościńców
i gorzkie audytoria koszarowych placów,
pola bitwy i lagry wydały roczniki
absolwentów gruntowniej już dziś wykształconych.

Człowiek, co śmierć przetrawił jak swój chleb powszedni
jest już inny niż kiedy pod butem kaprala
czyścił śliskie latryny szczoteczką do zębów.
Kobieta, której dziecko w czasie mroźnej nocy
wyrzucono przez okno wagonu, ponieważ
nawet myśleć nie można było o pochówku,
gdyż jak ziemię wydostać spod pancerza śniegu —
— ta kobieta jest dzisiaj już inna niż wtedy,
gdy w ogonku stawała rozegzaltowana
sukcesami oręża.
Głód, mróz, łzy wylane
otworzyły nam oczy i dziś już nam bliska
wymowa tego zdania: Człowiek człowiekowi
nie powinien być wilkiem i nie może człowiek
cierpieć zimna i głodu w rozgwieżdżone noce.

Patrzyliśmy, jak jeńcy grzebią w stertach śmieci
Byliśmy obojętni, dziś sami grzebiemy —
Prawdę rzekłszy, nie wszyscy. A ci, co nie grzebią,
mówią, byśmy szli bić się „za honor ludzkości".
Sądzą pewnie, że jeszcze zbyt płytko grzebiemy.

Widzę ludzi, co palą pszenicę na pniu
i topią w morzu kawę i wagony mięsa
psom rzucają i widzę dokoła plotkarzy,
pasibrzuchów, niebieskie ptaki, strojne lale
i wielu słabeuszów — cóż, że dobrej woli.
I widzę starców, dzieci, kobiety żyjące
w jamach, w mazi gliniastej. Wciąż się czegoś boją,
a wszystkie drzwi przed nimi dokładnie zamknięte.

W domu mojego ojca jest wiele pokojów.
Wiatr tylko po nich brzęczy. Urzędnicy
utrudniają, w czym mogą. W istocie
rządzi tutaj wszechwładna obojętność.

Po obłokach wodzimy osłupiałym wzrokiem,
skąd ma przyjść dla nas pomoc.
Ale kiedy? dla kogo. Czyż ma tamto szczęście
przypaść w dziale każdemu jak ciastko z jarmarku?

Są tu ludzie zdradzeni, wyrzuceni z pracy,
gdyż im nagle warsztaty zamknięto ukradkiem.
Są tu chorzy, ułomni, ranni, opuszczeni...
— Zaradź sobie, a Bóg ci pomoże.
Jest tu zbrodnia i jawny cynizm.
Wieczorami królują kastety.

Widziałem tu trzęsące się ludzkie zwierzęta
i słyszałem zawodzenie oszalałych
i teraz wiem już, że chłód
rozrasta się w miarę omdlewania
i pytam się, gdzie nas ten świat zaniesie?

Jakiż to dziwny świat, w którym nam żyć wypadło
i w którym z taką werwą czyści się kamasze,
choć nie zawsze wiadomo, dokąd się w nich pójdzie...
rano, w południe, wieczorem...
i pod jakim łóżkiem będą stały.

I pytam się, gdzie nas ten świat zawlecze?
Ale wierzę i wiarę popierają fakty,
że uniwersytety utartych gościńców
i gorzkie audytoria koszarowych placów,
pola bitew i schrony lotnicze i lagry
nauczyły cośkolwiek i ten świat zmienimy.

Nikt nie wie, czy się człowiek naprawdę poprawi,
lecz to pewne, że aby tak się stało,
ten świat musimy zmienić.

*) Gerd Semmer — student Uniwersytetu w Marburgu (Zach. Niemcy). Poeta wyraźnie lewicowy, jakkolwiek ideologicznie nie dość jeszcze skrystalizowany. Droga dojrzewania ideologicznego w kraju, gdzie polityka kulturalno-wychowawcza znajduje się w ręku wroga klasowego jest rzecz jasna trudniejsza, stąd przejściowe niekonsekwencje ideologiczne w twórczości debiutującego poety.

*) Rudolf Leonhard — czołowy działacz Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej, publicysta, członek kol. red. tyg. „Sturm".

WALTER PÜSCHEL

WEZWANIE

Towarzysze!
Wasze zgrubiałe ręce już dziś nie są puste.
dość dużo dźwigają wasze poździerane ręce.
Uśmiechy waszych dzieci,
łzy waszych matek,
ironiczny grymas rodowego patrycjusza —
to wszystko ujęły dziś wasze ręce.

Wasze ręce są szumiącymi lasami,
donośnym krzykiem lagrów,
mieniącą się w słońcu rybą,
kołem, które muska asfalt.
Detonacja, która zmienia sylwety skał
także spoczywa w waszych mocnych rękach.

Jesteście kowalami,
silnymi kowalami innego życia,
kowalami życia.
Czyż znacie tą ożywiającą siłę,
która się w was ocknęła?
Siła płodnych matek
tkwi w waszym dumnym spojrzeniu,
w rysunku traserskim na świecącej blasze,
w ufności dla spękanych rąk,
w ufności dla jasnego czoła.

Towarzyszu!
strzeż się uśmieszku węża —
strzeż się, ponieważ pełza on po brudach
i dostrzega jedynie śmiecie.
Nie wciąga w płuca świeżego oddechu
i nie podziwia stalowych konstrukcji
i nie pojmuje treści epickich zmagań.
Życie jego jest prochem
i śmierć jego tylko proch rozmnoży.

Towarzyszu!
rozkaż sobie twardo:
bądź czujny.
Jeśli dotrzymasz,
zwyciężysz.

przeł. T. Chróścielewski

ZOFIA RZEPLIŃSKA

PIEKŁO HITLERYZMU

NIE można być zwolennikiem pokoju, jeżeli traktuje się wojnę jako nieunikniony los. Zwolennikiem pokoju można być wtedy tylko, jeżeli do głębi zrozumie się, że zarówno pokój jak i wojna jest ludzkim dziełem i że zawsze można uniknąć wojny, jeżeli tylko ludzkość posłuży się ważką wolą w tym kierunku..."

Namiętne, gorące słowa apelu Johannesa R. Bechera, przewodniczącego niemieckiego „Kulturbundu", zwrócone do intelektualistów na II Kongresie Związku, trafiają w nerw centralny zagadnienia współczesnej twórczości demokratycznych Niemiec. Naczelnym zadaniem antyfaszystowskich pisarzy stało się po upadku hitleryzmu wyjaśnianie społeczeństwu istoty wojny i pokoju, ich źródeł, funkcji historycznej i udziału człowieka w procesie ich rozwoju lub zaniku. Alexander Abusch, znakomity historyk i publicysta antyfaszystowskich Niemiec, na tym samym Kongresie Związku dla Demokratycznego Odrodzenia Kultury Niemiec w następujący sposób scharakteryzował węzłowe problemy nowej literatury niemieckiej:

„Punkt pierwszy: walka przeciwko wierze w nieuniknioność wojny. Byłoby największym niebezpieczeństwem dla naszego ludu, gdyby próbowano mu sugerować nieuchronność trzeciej wojny światowej, gdyby na skutek tego zaczął wierzyć w wojnę jako w ślepe fatum dziejowe. Dlatego specjalnym zadaniem pracowników „Kulturbundu" jest prowadzić nieubłaganą walkę przeciwko tym, którzy torują drogę wojnie i pokazywać, że wojna to nie żadne fatum, mistyczny los, lecz zjawisko organizowane przez człowieka, przez konkretnie określone siły społeczne, a mianowicie żądne ekspansji koła monopolów i kapitału finansowego.

Punkt drugi: walka przeciwko wszelkim ideologiom, które dławią wolę naszego ludu dla wyzwolenia społecznego i kształtowania twórczych sił pokoju.

Punkt trzeci: Walka o natychmiastowe ograniczenie zbrojeń..." itd.

Wszystkie dalsze punkty wypływają z dwóch pierwszych, stanowią ich rozwinięcie i uzupełnienie. Wykładnikiem całego przemówienia Abuscha jest konieczność bezwzględnej, najsurowszej rewizji dotychczasowych światopoglądów, dogłębna, nieubłagana analiza sił, które wtrąciły naród w przepaść, niezmordowane wzmacnianie dźwigni, które pozwoli narodowi wydobyć się z jej dna.

Pisarze niemieccy nie szczędzą swemu narodowi oskarżeń — poto, żeby go zmusić do samokrytyki, nie szczędzą najboleśniejszych uderzeń, byleby tylko wzmóc czujność w budowie nowego życia. Nie są jednak tylko oskarżycielami — z niemniejszą pasją i dociekliwością potrafią doszukiwać się „dziesięciu sprawiedliwych", aby dać świadectwo tym siłom, które stały się zalążkiem Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zaczynem rewolucyjnej przebudowy Niemiec.

Taki jest w najogólniejszym zarysie program twórczości antyfaszystów niemieckich: z jednej strony ujawnianie wszystkich elementów wstecznych w historii, polityce i kulturze Niemiec, jako czynników, które utorowały drogę Hitlerowi — z drugiej — pokazywanie tych sił, które wątłe i nikłe, walczyły w osamotnieniu i beznadziejności z hitleryzmem, po to, aby wzmocnione stokrotnie po wojnie przez pomoc Związku Radzieckiego, panując już nad sytuacją, zwalczać do ostatka pozostałości faszyzmu, oczyszczając teren pod pierwsze rusztowania demokracji.

„Każdy umiera w samotności" *), powieść napisana po wojnie, jest artystycznym udokumentowaniem ideologicznej decyzji jej twórcy. Hans Fallada, pisarz, który nie emigrował, który nie walczył w podziemiu przeciwko hitleryzmowi po wojnie opowiedział się po stronie obozu rewolucyjnego. Został aktywnym członkiem Związku dla Demokratycznego Odrodzenia Kultury Niemiec; wraz z innymi walczył o urzeczywistnienie haseł przebudowy społecznej i ideologicznej swego narodu, zdecydowanie i konsekwentnie odciął się od miraży amerykańskich neofaszystowskich pokus płynących z Niemiec zachodnich.

Wnosząc z ogólnej postawy światopoglądowej Fallady w tym okresie i zasadniczej koncepcji fabuły, utwór p. t. „Każdy umiera w samotności" miał być jeszcze jednym fragmentem wielkiego obrachunku niemieckich antyfaszystów z dziejami własnego narodu, namiętnym oskarżeniem hitleryzmu, ukazaniem rozkładu własnego społeczeństwa zakażonego nazistowskim bakcylem. Miał być również próbą jakiejś mikroskopijnie-ułamkowej rehabilitacji upadku Niemiec, próbą obciążenia szali przeciwnej zbrodniom, szali cierpień, mąk, walki, pokuty, próbą przebicia wyłomu z impasu hitlerowskiego „tysiąclecia", nakreślenia przejścia ku światłu przemian, zaszczepienia ufności dla nowych perspektyw narodu niemieckiego. Próba zawiodła. Druzgocące oskarżenie Fallady przytłacza swoim patosem, ale wymierzone ślepo, chybia celu, nie wyciąga winnych na światło dzienne. Po stronie walczących męczenników nie ma tych, których krystalicznie-jasno sformułowany program rewolucji uprawniał do pertraktacji z historią. Obraz nowych możliwości dla społeczeństwa Niemiec jest niewyraźny, zamazany: brak mu podkładu, ram, tła i perspektyw. Bukoliczny oleodruk, idylliczna sielanka w miejsce przejawu zwycięskiego ścierania się sił postępowych z siłami wstecznymi.

Przyjrzyjmy mu się z bliska. Kuno, przybrany syn Ewy Klenschaeper, wybiera się do miasta po nowy pług. Czytelnik jest wprawdziwie rozczulony serdecznym stosunkiem, panującym między nim a matką, do głębi przejęty moralnym odrodzeniem chłopca. Obraz dobrobytu wydaje się słuszną nagrodą za tragiczne przeżycia Ewy i bolesne dzieciństwo jej przybranego syna. Pogodne perspektywy przyszłości napełniają otuchą i zaufaniem. Zaufaniem do czego lub do kogo? Oczywiście do losu, który pozwoliwszy chłopcu zasiać dobre ziarno, każe oczekiwać teraz dobrego plonu. Mądry los — można śmiało na nim polegać.

Groteskowość ostatniego zdania bynajmniej nie ma na celu taniego i niewczesnego ośmieszania powieści napisanej zresztą z bezspornym talentem. Wzmianka o mądrości losu — zdanie, które właściwie nic nie znaczy — jest odpowiednikiem poważnej luki w koncepcji utworu, luki, która powoduje pęknięcie ideologiczne idące wzdłuż i wszerz realizacji pomysłu artystycznego. Zacznijmy udawadniać ten sąd od końca, chociażby od tej właśnie idylli Ewy i Kuno, którzy zasieli dobre ziarno i którym los błogosławi.

Hans Fallada mówi o nich: „Tak ładnie się dorobili: ojciec, matka i on. Nie są już zależni od krewnych, w zeszłym roku dostali ziemię, są samodzielnymi ludźmi, z koniem, krową, świnią, dwoma baranami i siedmioma kurami".

Ale Fallada wie, że ta ziemia nie spadła z nieba, tylko dostała się w ręce biedaków dzięki reformie rolnej. Wie również, jak epokowym był ów fakt pozbawienia podstaw ekonomicznych junkierskich obszarników, warstwy, która stanowiła trzon klasy dążącej do wojen, trzon tępoty pruskiej, podstawę militarnego kołtuństwa, źródło nienasyconych ekspansji **„gegen Osten"**. Ta ultra-reakcyjna warstwa została zdławiona a ziemia oddana tym, którzy ją sami uprawiają. Bezrolne i małorolne masy chłopskie dopiero teraz dzięki przemianom demokratycznym poczuły się gospodarzem na własnej ziemi i ten związek przyczynowy stał się niesłychanie doniosłym czynnikiem w kształtowaniu ich świadomości społecznej i politycznej. Odpadł moment reakcyjnego przewodnictwa na wsi: dźwignią rozwoju dobrobytu stają się przemiany ustrojowe — w tym więc kierunku zaczynają się zwracać oczy chłopskie, szukające wyjaśnienia dla zjawisk socjalnych. Stąd właśnie bije źródło ideologicznego postępu niemieckiego chłopa, który, ogłupiany dotychczas przez panów „von" i „zu", zaczyna rozumieć sens swego bytu i swoje prawa wobec historii. Autor kwituje te wszystkie sprawy sentencją niemal biblijną: „Bo kto sieje, ten zbiera, a chłopak zasiał dobre ziarno".

Brzmi to wprawdzie wzniośle, ale zgoła nie — historycznie i na tym właśnie polega niedostatek dojrzałości ideologicznej Hansa Fallady, z którego oczu, nawet tak intensywna „terapia", jak doświadczenia hitlerowskiego okresu, nie zdjęły drobnomieszczańskej katarakty t. zn. apercypowania rzeczywistości bez dostrzegania w niej istotnych elementów konstruktywnych, sił napędowych, stwarzających taki właśnie a nie inny fragment historii.

Ta nieznajomość praw rządzących mechaniką dziejów odbija się, jak już zostało powiedziane, na całej strukturze powieści. Fallada oskarża reżim hitlerowski. Mówi o nim z jak najbardziej szaloną nienawiścią, na jaką tylko antyfaszysta może się zdobyć. W rezultacie otrzymujemy obraz istotnie jakiejś potwornej apokalipsy: otchłań ziejąca zbrodnią. Ale cóż dalej „szary człowieku", Fallado — co daje nam ten obraz dla zrozumienia przyczyn powstania i utrwalenia się hitleryzmu? Jakie wskazówki daje tym, którzy chcą wyciągnąć wnioski ze straszliwej lekcji historii? W jaką stronę każe zwracać się po ratunek? Jakim siłom wyznacza rolę przodującą? Dokonajmy pobieżnego przeglądu wątków fabularnych powieści dla prześledzenia choćby w najogólniejszych zarysach metod pisarskich Fallady.

Przede wszystkim zaskakuje nas pewien uderzający brak: w powieści, której osnową jest sprawa hitleryzmu nie ma ani jednego hitlerowca z prawdziwego zdarzenia. Persickowie, komisarz Escherich, przewodniczący Sądu Narodowego Fleisler, komisarz Laub, Obergruppenführer Prall nie należą do grup zasadniczych ludzi, za sprawą których istniał hitleryzm. Ta, dość ciekawa i bogato zróżnicowana wiązanka łotrów spod ciemnej gwiazdy, reprezentowała tylko siły policyjne hitleryzmu, grupę bardzo specyficzną wprawdzie, ale niezupełnie centralną. Sfora psów wypuszczonych z łańcucha nie pretenduje w żadnym wypadku do roli gospodarzy rządzących domem—przy największych talentach gończych, pozostaje zawsze jednak tylko psiarnią. W wycinku hitlerowskiego państwa, ukazanym w powieści Fallady, nie widzimy gospodarzy, fabuła kręci się dokoła wrzasków Persicków, wrzasków Eschericha i wrzasków innych skolei Fleislerów lub Laubów. Mogłoby się wydawać, że to oni właśnie reprezentują główną podstawę hitleryzmu. Błędem jest niesłychany nacisk, jaki autor kładzie na ich stylu zachowania. Wraca wciąż z takim uporem do iście bestialskich manier swych bohaterów, jakby chciał w ten sposób podkreślić pewną istotną cechę całego zagadnienia. A przecież, gdyby nie mieli zwyczaju wyć i znęcać się nad ofiarami podczas przesłuchania, nicby się przez to w hitleryzmie nie zmieniło. I w ogóle nie o to chodzi. Hitleryzm nie polegał na wrzaskach wyżej wspomnianych Prallów i Laubów, w ogóle nie p o l e g a ł na nich — nimi się tylko p o s ł u g i w a ł, należało więc te proporcje przedstawić jakoś w powieści. Tymczasem czytelnikowi kręci się w głowie podczas czytania od ryków hitlerowskich naganiaczy, ale z ich praktyk nie rozumie nic, lub prawie nic: jakie są ich źródła, jakie motory socjalne powodują nimi, jaka klasa dzierży tu siłą? Jakim sposobem dostała władzę w swe ręce, jaka klasa stanowi dla niej przeciwwagę, gdzie spiętrza się konflikt itp.

Nawet najbardziej dyskretna aluzja nie prowadzi czytelnika na ślad mocodawców krwawej roboty hitlerowskich speców od katowania. Trudno się więc domyślić, że hitleryzm nie polega przecież na furiach zwyrodnialców, bo z tymi nie tak trudno byłoby sobie poradzić, lecz że za nimi stoją koła monopolistów, sojusz junkrów i armii z wielkim kapitałem. Przedstawicieli tych warstw kompletnie zabrakło w powieści — tak jakby nie istnieli, tak jakby nie było imperializmu niemieckiego, a tylko jakieś mistyczne bestialstwo upostaciowane w osobach przedstawicieli gestapo i policji kryminalnej. Oczywiście utwór beletrystyczny nie musi spełniać postulatów rozprawy politycznej — niemniej podstawowe założenia metody realistycznej domagają się właściwej proporcji i hierarchii we wzajemnym stosunku części składowych opisywanego zjawiska.

W książce Fallady obszernej, zbudowanej z dużym wyczuciem techniki kompozycyjnej, tym bardziej razi brak najistotniejszych elementów zagadnienia — zwłaszcza wobec specjalnie natrętnego, niepotrzebnie po wielokroć powtarzanego akcentowania elementów wtórnych. Autor poruszając się z imponującą swobodą w świecie mętów i degeneratów, staje się zupełnie bezradny w obliczu jakichś socjalnych klasyfikacji swych bohaterów. Rozsypanych szczegółów nie potrafi włączyć w system, w dialektyczną całość, poddającą się kategoriom socjologicznego komentarza. Fallada widzi ruch i potrafi go opisać z techniką aż męcząco precyzyjną — nie zdaje sobie natomiast sprawy z mechanizmu sprężyny, która ten ruch powoduje. Widzi ludzi i analizuje ich postępowanie z pełnym pasji, czasami wręcz maniackim uporem psychologa, ale za tymi ludźmi nie widzi klas, nie widzi warstw społecznych, ani grup politycznych. Zawieszeni są pojedyńczo w próżni, zależni wyłącznie od własnych przeżyć, własnych radości i dramatów, którymi rządzi pomyślny lub niefortunny przypadek. Idąc po linii pisarskiej Fallady, można by pomyśleć, że gdyby Quanglowie nie otrzymali wiadomości o śmierci syna, nie staliby się ludźmi walki przeciwko machinie hitlerowskiej, a gdyby nie pechowy dzień ich „nakrycia", nie powstałoby w ogóle w książce zagadnienie ruchu oporu w okresie nazizmu.

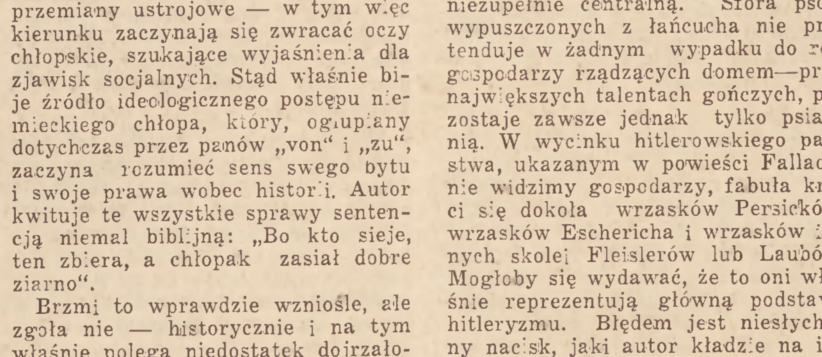
Oczywiście, tego rodzaju metoda podawania wiedzy o zjawiskach społecznych wąskim kanałem zdarzeń w życiu jednostki mści się na całości obrazu. Reakcją po opisie męczarni Quanglów, po opisie więzienia, w którym zginęli wraz z innymi, może być zgroza, litość, przerażenie, lecz nigdy serio refleksja na temat ruchu oporu w hitlerowskich Niemczech. Gdyby nawet taka myśl się pojawiła, musiałaby natychmiast skapitulować wobec repliki kontrargumentów ze strony układu fabuły powieści: A więc tak wyglądał sprzeciw? Reprezentowany przez dwie stare, złamane tragedią osobistą, postacie? Zasługujące może na podziw, ze względu na pewne bezsporne walory osobiste, lecz nie dające się przecież absolutnie wziąć pod uwagę, jako przedstawiciele ruchu politycznego!? W tym sensie są raczej karykaturą i tutaj właśnie szczelina w koncepcji artystycznej Fallady rysuje się najwyraźniej.

„Szary człowiek" pełen najlepszych intencji ograniczony jest wąskim polem widzenia drobnomieszczanina. Spoza portretu wyziera parodia. Szczelina staje się jeszcze głębsza, gdy pisarz ryzykuje przejście na teren, którego nie zna i nie rozumie. Ukazanie komunistów niemieckich w charakterze karykaturalnych figur z gabinetu osobliwości stanowi właściwie największe obciążenie utworu. Znów rys wielce charakterystyczny: Fallada nie tylko nie miał pojęcia o działalności KPD, ale nie umiał nawet zdać sobie sprawy, jak głęboko się mylił, pokazując czytelnikom taki obraz bojowników przeciwko Hitlerowi. Tak jak gdzie indziej, pasjonują go bardziej szczegóły opracowania technicznego — zwłaszcza jeżeli to są szczegóły drastyczne — niż prawidłowe oświetlenie danego zjawiska zgodne z prawdą historyczną. Osesek, Grigoleit, Truca i Karol Hergesell to nie są przedstawiciele KPD! Prawda, że Komunistyczna Partia Niemiec w tamtym okresie popełniała błędy, że była wątła, sekciarska i słabo zorganizowana, niemniej przecież rzesze bezimiennych bohaterów walczących w konspiracji od r. 1933, były światłem w mrokach nocy hitlerowskiej. To oni, mimo najstraszliwszego terroru, potrafili donieść do końca ideę walki z faszyzmem, którą biorąc z rąk mordowanych, podawali następnym, gotowym z kolei na męczeństwo i śmierć. Ich to wkład bogato użyźnił grunt pod przemiany demokratyczne w nowych Niemczech — i nie wolno pisarzowi, biorącemu udział w procesie tych przemian, nie widzieć istotnych ich motorów.

Fallada nazwał swą książkę „Każdy umiera w samotności", i jakkolwiek tragiczną wymowę ma ten tytuł, to bardziej jeszcze tragiczna jest sprawa ludzi, którzy nie potrafią się wyłamać z ż y c i a w samotności. Takich prawdopodobnie miał na myśli Spinoza, gdy powiedział, że „człowiek kierujący się rozumem, jest bardziej wolny w państwie, gdzie żyje zgodnie z społecznym postanowieniem, niż w samotności, gdzie posłuszny jest tylko samemu sobie".

Autor powieści „Każdy umiera w samotności" nie sprawia wrażenia, jakoby był wolnym. Na jego twórczości wyraźnie odbiło się zwężenie świadomości ideologicznej, spętanej niemożnością społecznego widzenia rzeczy. Książka jego, wręcz świetna, jako fragment obrazu piekła hitlerowskiego, jako potężne, ostrzegawcze memento, jest jednocześnie świadectwem niebezpieczeństw, na jakie narażony jest pisarz, pozbawiony busoli świadomości klasowej i politycznej. Mimo gorącej pasji pisarskiej nie wyjaśnił przecież Fallada swą książką prawie żadnego z tych zagadnień, które twórcom antyfaszystowskiej kultury Niemiec wydają się kluczowe w procesie oddziaływania na naród niemiecki.

Zofia Rzeplińska



Tak się znów zaczyna, od policji przemysłowej, remilitaryzacja Niemiec Zach. przez amerykańskich imperialistów foto — API

*) „Każdy umiera w samotności", Hans Fallada, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 533.

DWA PAMIĘTNIKI

KAROL PIĘTAK

DROGA PRZESZŁOŚCI

Zmarły w r. 1947 mój ojciec Karol, urodził się i wychował w tej samej okolicy i w tym samym środowisku, co znani pisarze ludowi, Jan Słomka i Ferdynard Kuraś. Młodszy od Słomki o ćwierć wieku co najmniej, a od swojego krewniaka Kurasia o pięć lat zaledwie, rósł jednak ojciec w innej atmosferze umysłowej, niż jego utalentowani ziomkowie. Jeśli bowiem Słomce i Kurasiowi przyświecały gwiazdy plebanii i dworu, gdy znaleźli się oni obydwaj z takich czy innych względów w orbicie zupełnych wpływów endecji, to mojego ojca kształtowała wczesna działalność socjalistów galicyjskich i działalność radykała chłopskiego Jana Stapińskiego. (Brat ojca, Franciszek, poeta i nowelista, bliski współpracownik „Naprzodu" i „Prawa Ludu", zasilał ojca lekturą, korespondował z nim i wywarł zdecydowany wpływ na ukształtowanie się jego świadomości).

Pod wpływem ciężkich losów ojciec z czasem zobojętniał na sprawy walki politycznej, nie zajmował się polityką zawodowo, jak to sam pisze, nigdy jednak nie zdradził swoich przekonań młodzieńczych i nie utracił swojego instynktu klasowego, toczył, czego sam byłem świadkiem, na terenie wsi upartą, nielekką i przegraną zazwyczaj walkę z miejscowym kułactwem, z piastowcami i sanatorami lat 20-tych i 30-tych.

Z ojcem poznajomiłem się dopiero po jego powrocie ze świata, w roku 1920. Przebywał on wówczas kilka lat jako ochotnik, tzw. armii Hallera na froncie francuskim i wołyńskim i pełen bolesnego rozczarowania do zachodzących zdarzeń (świadczą o tym dobitnie karty opowieści), następnie wrócił do domu. Był w owych dniach nędzarzem (krach banków w USA pogrzebał jego kilkuletni zarobek) i zdrowie jego było mocno podkopane. Musiało upłynąć wiele dni nim okrzepł w sobie, nim znowu nabrał pewności siebie i chęci do walki z ropaczliwymi warunkami bytu. Od tego to właśnie czasu, życie jego upływało już wyłącznie w rodzinnej Wielowsi i było ciężkie, głodne i udręczone. Pracował jako cieśla wioskowy. Uprawiał kilka mórg swojej ziemi, ale to i tak nie starczało na utrzymanie i wyżywienie rodziny. Co roku przytrafiał się w domu przednówek, co roku trzeba się było zapożyczać i sprzedawać kawałątka ziemi, by dzieci okryć, by kształcić je choć w drobnej mierze.

Ojciec mój, nawet jak na samouka był oczytany bardzo, zarówno w literaturze pięknej, jak i filozoficznej. Na starość jednak utracił swoje siły duchowe i nie przejawiał dawnych zainteresowań naukowych. Do pisania nie czuł pociągu, ręka, która codziennie trzymała topór, czy siekierę, za ciężka była do pióra, wolał raczej opowiadać, w ostatnich swoich przecież latach pod wpływem moich próśb zabrał się do pracy i na kilka miesięcy przed nagłą śmiercią, spiesząc się już bardzo, ukończył swój pamiętnik.

Praca jego ze szkodą dla niej, nie jest jednak pamiętnikiem, jest raczej opowieścią literacką, gdzie nie jedno jest może i zmyślone, posiada przy tym karty niejednokrotnie pełne świeżości i polotu w opisie.

Najlepsze strony pamiętnika, to jego wstęp (wybrała go „Wieś" właśnie do druku), w którym w zwięzłej i celnej formie zdołał ojciec przedstawić ciężką dolę młodego proletariusza chłopskiego z lat przed pierwszą wojną światową. W tym właśnie fragmencie sam ograniczył się ojciec do barwnego opisu zdarzeń, lecz potrafił nakreślić i tło ekonomiczno - społeczne czasu.

Kończąc to krótkie wprowadzenie do tekstu, nadmieniam, że w pracy ojca nie poprawiałem stylu, poprawiałem w niej jedynie najbardziej rażące błędy językowe i składniowe.

Stanisław Piętak

Urodziłem się 4. VI. 1876 roku w Wielowsi, pow. tarnobrzeskim. Zaranie mego życia, odkąd moja pamięć sięga, spędziłem pod opieką ś. p. matki mojej, najszlachetniejszej i uczciwej kobiety.

Gdym dorósł i liczyłem lat osiem, oddali mię rodzice do szkoły, gdzie nauczycielami były S.S. Dominikanki. Nauka odbywała się przez cztery miesiące, od listopada do kwietnia. I tak: czytanie, pisanie, rachunki, trochę historii, trochę geografii, wszystko w skróceniu — i raz w tygodniu religia.

Po ukończeniu tej nauki, nie mając co robić w domu (było nas 4 braci i siostra), a chcąc rodzicom ulżyć w wydatkach domowych, poszedłem na zarobek do dworu. Nie wiele rodzicom pomógł mój dorobek, bo na dużym dniu w marcu zarobiłem aż 10 centów. Tyle kosztowało 1 kilo soli.

Gdy przyszedłem wieczór spracowany do domu i oddałem mój zarobek ojcu, oświadczył mi, że więcej do dworu nie pójdę, bo nie będę na pana darmo pracował. Na moje szczęście, czy nieszczęście oddał mnie wtedy ojciec do organisty na naukę, abym w przyszłości mógł zostać organistą w kościółku parafialnym.

Nie powiodła się nadzieja ojcu w tym kierunku, bo ja. nie mając najmniejszej ochoty do uczenia się nut, po miesiącu nudnej dla mnie nauki, oświadczyłem, że więcej do organisty nie pójdę. Na tym zakończyło się moje organistostwo.

Ale widać nie miałem przeznaczenia zostać z rodziną w domu, bo nie upłynęło znów pół roku, a oddał mnie ojciec do ogrodu hr. Mycielskiego w Wiśniowej pod Frysztakiem, w pow. jasielskim. Tam był ogrodnikiem dość bliski jego krewniak i jemu oddał mnie do nauki ogrodnictwa.

Przebyłem tam 2 lata nie w nauce, ale po prostu na służbie. Nie powiem, bym nie miał chęci do ogrodnictwa, ale samo się tak złożyło, że byłem odpechnięty od wszystkiego, czego się mogłem nauczyć i zeszedłem na zwykłego sługę dworskiego.

Przyczynił się do tego ogrodnik, ten mój krewniak, bo mu nie mówiłem ni „stryjku", ni „panie". Znienawidził on mnie, a ja jego i do tego doszło, że po jednej dużej kłótni zabrałem swoje manatki, siadłem na pociąg i przyjechałem do domu.

Ojciec, ujrzawszy mnie, nie mówił nic, tylko machnął rękę i dał mi do zrozumienia, że daje mi zupełną swobodę życia. Miałem już 17 lat skończone i byłem już parobczakiem zdolnym do pracy. Uśmiechała mi się swoboda życia, a że nie było wtedy innych zarobków, postanowiłem pójść na flis.

Flisacy byli wolni jak cyganie. Podobało mi się to. Pierwszy raz trzeba było sobie poszukać przewodnika, który miał mieć takiego fryca, jak ja, na opiece. Tak też i uczyniłem i poszedłem z nim i z torbą, czyli workiem na plecach 15 mil do Puław, zwalać budulec na Wisłę i regulować tratwy do odpłynięcia na miejsce przeznaczenia.

Muszę się chwilę wstrzymać i określić tych ludzi, którzy rok rocznie trudnili się tym zarobkiem, czyli chodzili na flis. Otóż po miastach i miasteczkach Żydzi przeważnie zajmowali się faktorstwem między przedsiębiorstwami a chłopami. Zdobywszy ludzi, wysyłali ich do kupców, do Warszawy, do Brześcia Litewskiego, Tykocina, Włodawy i innych miast, a tamci umieszczali ich na tratwach i pod kierownictwem starszego przodownika, zwanego retmanem, wysyłali do Prus.

Faktorzy jedynie żądali od chłopa z gminy opisu wzrostu i budowy, potrzebnego do wyrobienia paszportu za granicę. Gdy paszport był gotowy, wtedy faktor dawał zadatek w monecie rosyjskiej, tj. rubla i wcielał fryca do gromady, która miała iść do Brześcia lub gdzieindziej.

Fryc przychodził do swego domu, ładował plecak, przeważnie prosty worek, wkładał w niego bieliznę i żywność na drogę na kilka dni i ruszał do gromady. Gromada, licząca nieraz przeszło 200 chłopa, z torbami na plecach i kijami w garści wędrowała niekiedy i 10 dni, zanim przyszła do miejsca swego przeznaczenia. Tam rozdzielano po 8-miu na tratew z przodownikiem na czele. Ludzie z kolei budowali sobie po dwóch budy do spania i schowek na żywność na tratwie i już gotowi byli do odpłynięcia.

Zarobek był bardzo lichy, bo na tydzień dostawało się tylko 2 ruble. 1 rubel trza było wyłożyć na pożywienie, drugi można było schować na później.

Praca na drzewie była bardzo ciężka i dziadowska. Nieraz, gdy zaczął padać deszcz, to padał i przez kilka dni, wtedy nie dało się nic ugotować I do budy się nalało, przemoknięty do suchej nitki, człowiecze nie mogłeś sobie dać rady z robactwem. Ale z drugiej strony to życie miało i wesołe chwile, bo co godzina było się w innym miejscu, zmieniały się widoki natury.

Z wielką biedą dobiliśmy do Gdańska i tam wysiedliśmy z drzewa. A po odbyciu wszystkich formalności, tj. po odebraniu wypłaty i odebraniu paszportów, wsiedliśmy na pociąg i przyjechaliśmy do Warszawy, gdzie na Pradze była główna agencja faktorów, trudniących się rozsyłaniem flisaków na najdalsze rzeczki.

W Warszawie rozłączyłem się ze swym opiekunem, bo przeszedłem już początki fachu flisackiego i mogłem sobie sam dać radę Żyd, faktor, posłał nas, kilkudziesięciu chłopów do Tykocina, na rzekę Narew, ale już nie pieszo ale furmankami. Wozy były tak urządzone jak w miastach — nie żadne skrzynie, ale szeroko rozłożone pomosty do rozwożenia towarów. Nasze tłumoki leżały w środku, a my dookoła siedząc, nogi mieliśmy pospuszczane i wiszące.

Żydzi, furmani, byli to ludzie, którzy cały rok musieli się znajdować w drodze. Czy to deszcz, czy zimna wichura, lub niemiłosierny upał, wszystko się o nich obiło, toteż byli czarni, ogorzali, obdarci, nie umyci, jak i ich konie — suche szkielety pobijane straszliwie po bokach. Nawet przy małym pagórku musieliśmy złazić z wozu i nie tylko iść, ale i pchać za biednymi szkapami.

Po 4-dniowej, męczącej podróży stanęliśmy w Tykocinie, miasteczku dosyć schludnym, pobudowanym na dużym pagórku, otoczonym od wschodu obrzydliwymi moczarami, pełnymi trzciny i szuwaru.

Wsiedliśmy na drzewo, które paskami leżało na tych śmierdzących wodach i zaopatrzyliśmy się w żywność na tydzień. W ciągu takiego czasu musieliśmy właśnie paski dopchać do Wizna, małego miasteczka nad Narwią, tj. do miejsca, odkąd fala niosła już swobodnie.

A tymczasem dano nam 4-metrowe tyki z dużym sznurkiem pod pachą — z nimi to szło się po dwóch na pasek.., Gdy wbiłeś w przodzie tyczkę a nogami szedłeś do tyłu, toś pchał w ten sposób to drzewo po tych bagnych i wirach i nieraz cały dzień nie widziałeś nic tylko szuwary i szuwary, kładące się u twoich stóp.

Ja ze swoim kolegą, takim młodym chłopakiem jak i ja, Jasiem Trelą z Wielowsi, moim krewniakiem, pchaliśmy swój pasek, jakąśmy tylko siłę posiadali. I byłoby może wszystko dobrze, gdyby nie stanął na przeszkodzie wiatr, który jakby się uwziął na nas. Zaczął dąć przeraźliwie w same oczy, tak, że ani rusz nie mogliśmy popchnąć drzewa naprzód. Zamiast tygodnia zeszło nam dwa razy tyle czasu przy robocie.

Ba, ale żywność wzięliśmy sobie tylko na 7 dni Chleb, kasza i słonina się nam pokończyły, zostało nam ledwie parę kartofli i trochę kawy, niestety, bez cukru, tymczasem z wioski najmniejszej ani śladu, żeby można coś kupić.

Gdyś zjadł kilka ziemniaków i kawą to popił, toś się nie najadł wcale, czujesz głód jeszcze gorzej, a tu młodość i zdrowie dopominają się swego, siły do borykania się z wiatrem nie ma zupełnie.

Zdawało się,że już nie wytrzymamy dłużej, gdy wtem chłopi krzyczą po paskach, że niedaleko wioska!... Siadam ja zaraz do łódki i z innymi jadę. Rzeczywiście, kupiłem dość spory biały chleb. Ponieważ jednak powiedziano nam w sklepie, że za kępą można dostać chleba razowego, odwiozłem ja swoją zdobycz na drzewo, a sam ruszyłem dalej, by się zaopatrzyć jeszcze w bochenek drugi, by nam to wystarczyło już dotąd, dopóki nie wypłyniemy z przeklętych bagien.

Płynięcie Narwią jest, mimo wszystko, bardzo wesołe, szczególnie wieczorem, po zachodzie słońca. Po prawej stronie rzeki znajdują się wsie i miasta — i to większe, jak Łomża, Ostrołęka, Pułtusk i wyższe i mniejsze pagórki i falujące na nich zboża — po lewej zaś stronie rozciągają się łąki i łąki bez końca.

Gdy się zaczną sianokosy, nawet z dalszych stron przewożą się kosiarze i dziewczęta, które suszą i grabią w kopy siano. Wieczorem po pracy, siadają kupkami i śpiewają piosnki wiejskie. Nie można się było oderwać od tych ślicznych piosenek polskich i jeszcze piękniejszych melodii ruskich. Zdawało się, że cały świat się rozśpiewał — i ludzie, i ptaki, i żaby na wodzie.

Przypłynąwszy do miejsca, gdzie się łączy Narew z Bugiem i zbiwszy paski w tratwy, popłynęliśmy szeroką już wodą aż do Wisły, a nią dalej...

Tak w tym lichym i upośledzonym bycie flisaka przewędrowałem całe cztery lata i tylko tyle skorzystałem, że rozwinąłem trochę swój umysł.

W ostatnim roku mego flisakowania — działo się to w pruskim zaborze koło Tczewa, poszliśmy kupić chleba na lądzie. Przystąpił wtedy do mnie Polak, agent i namawiał mnie i innych, byśmy się zgodzili pójść pracować przy żniwach u baurów pruskich. Po dłuższej debacie zgodziliśmy się, zaznaczyliśmy tylko, że musimy jeszcze drzewo doprowadzić do Gdańska.

Zgoda stanęła na tym, że otrzymamy pomieszkanie, całe życie i po 2 marki dziennie. Bardzo to był pociągający i korzystny zarobek. 2 marki równały się 1 rublowi, a 1 reńskiemu i 20 centom w monecie austriackiej. Jeśli się zważy, że w żniwa u nas na folwarku człowiek najwyżej zarobił dziennie 60 centów, a na flisie pół rubla i z tego trza było jeszcze żyć, to ten zarobek, na który się zgodziliśmy, okazywał się świetny.

Z największą chęcią po opuszczeniu drzewa pojechaliśmy do miejsca, które nam wskazał agent. Gdy tam przybyliśmy, on nas porozdzielał i po kilku wprowadził do baurów. Ja i dwóch moich kolegów dostaliśmy się do jednego z nich. Ten zaprowadził nas do mieszkania przeznaczonego dla nas i wskazał nam kuchnię, gdzie mieliśmy dostawać jeść, oświadczył następnie, gdzie mamy się jutro stawić do pracy i odszedł.

Na drugi dzień dano nam kosy. Stanęliśmy gotowi do koszenia z tamtejszymi kosiarzami. Niestety, okazało się, że wcale nie umiemy po tamtejszemu kosić. Tylko ja jako tako dawałem sobie radę, przodownik zostawił mnie, a tamtych dwóch odprawił do wiązania.

Przekonałem się, że praca tutaj podwaja się w szybkości w stosunku do roboty w moich stronach. Po ukończeniu kośby, która trwała przez 5 tygodni, wszyscy przeszli do wiązania i zwózki w bardzo szybkim tempie. Nawet w nocy, nawet w deszcz sprzątaliśmy z pola.

Jednego dnia, jeszcze było ciemno, deszcz siąpił, baur zegnał nas z łóżek do wiązania reszty owsa. Wiążemy, wiążemy, przemokliśmy wtedy i zrosili się do ostateczności. Postanowiłem rzucić tę pracę i pójść precz od Niemca. Tak też i zrobiłem, przyszedłem do folwarku i wlazłem na siano na stajnię, oczekując co dalej nastąpi.

Po upływie pół godziny przyszli i tamci dwaj, moi koledzy i mówią, że i oni nie będą więcej u Niemca robić. Leżymy i słyszymy, że baur chodzi po gumnie i wygwizduje. Znak to, że jest bardzo zły. Nie chciałem dłużej czekać, postanowiłem skończyć z tym. Zlazłem z góry i z listem w ręce idę do Niemca i mówię, że idę do wojska (muszę nadmienić, że rozumiał po polsku, tylko nie umiał mówić.) Popatrzył na mnie i mówi: — Tyś młoda do wojska.

Ale ja się upieram przy swoim, tedy obrócił się i kiwa na mnie. Wszedł do kancelarii, a ja za nim. Wziął książkę i liczył długo, aż skończył. Wtedy otwiera kasę, przynosi na stół pieniądze i kładzie na kupki marki i talary. Gdy dość poważna kupka urosła (tak że aż zdziwiłem się, dla kogo tyle pieniędzy) odwrócił się i rzecze: — Ty głupia, to twoje wszystko — i wytłumaczył mi, że kosiarze mieli od morgi i wyszło im po 4 marki dziennie i on mi tak tedy płaci.

Namawiał mię, bym na przyszły rok przyjechał wprost do niego na cały rok.

Podziękowałem mu i odszedłem trochę rozdrażniony, bo to i zarobiłem ładny grosz i życie tu było dobre. Prawda, śniadanie było nie nadzwyczajne, bo tylko chleb ze smalcem i kawa z mlekiem bez cukru, za to obiad był bardzo suty. Dostawaliśmy wtedy jeszcze po kawałku słoniny, tak że można było dobrze pracować bez podwieczorku.

Pięćdziesiąt lat już temu jest, a jeszcze pamiętam, jak szedłem piechotą do pociągu gościńcem. Drzewa owocowe po obu stronach stały rzędami — gałęzie ich uginały się pod dojrzałym owocem do samej ziemi. Pięknych jabłek pod każdym drzewem tyle leżało, że aż oczy się zachwycały... Że to było ciepło i słoneczko prażyło, więc gdzie ładniejsze jabłko, tom podniósł je z ziemi.

Gdym wrócił do domu, musiałem zająć się pracą na niewielkim 6-morgowym gospodarstwie, bo ojciec wójtował w gromadzie. Starszy brat się ożenił i poszedł na swoje, młodszy odemnie był na kursie; a najmłodszy uczęszczał do szkół średnich w Rzeszowie.

Ale i lata lecą i w drugim roku mej pracy w domu umarł mój ojciec Andrzej, nie zrobiwszy żadnego rozporządzenia co do jego majątku. (Majątek był przeważnie jego, matka miała tylko pół morga ziemi.) Z tego wynikły kłopoty, bo każdy z braci chciał lepsze kawałki gruntu — no i plac z budynkami. No, ale w końcu pogodziliśmy się sami. Ja ze starszym bratem Kazimierzem wziąłem plac z budynkami, młodszemu Ludwikowi daliśmy za to trochę więcej ziemi, a najmłodszemu Frankowi pół morga najlepszego gruntu na dokończenie nauki.

W czasie, gdym zaczął się budować, na połowie placu uzyskanym po ojcu, musiałem wszystko rzucić i pójść do wojska, by tam służyć Franciszkowi Józefowi I, ówczesnemu cesarzowi austriackiemu. Tam ogłuszony i zahukany komendą niemiecką musiałem zapomnieć o wszystkim, co się tyczyło domu, a oddać się tylko ciężkiej służbie wojskowej. Na moje szczęście matka moja wniosła reklamację, — że to nie ma kto na nią robić. Reklamacja poparta przez gminę i parafię, potwierdzona w starostwie, odniosła skutek. Po 5-ciu miesiącach zwolnili mnie, miałem się tylko stawić na manewry.

Uwolniwszy się z wojska postanowiłem się ożenić, bo nie mogłem sobie dać rady w pracy. (Wziąłem wtedy opiekę nad najmłodszym bratem, to mi jeszcze przysporzyło kłopotu). Tak też zrobiłem, ożeniłem się. Los padł i jak to mówią przeznaczenie, na dość porządną dziewczynę, za którą wziąłem 3 morgi pola.

A więc jestem już żonaty i gospodarz na 5-ciu morgach ziemi. Zakasaj rękawy i dalej do pracy, pókiś młody, żebyś był kimś na świecie!

Muszę nadmienić, że w tych czasach czytałem dość dużo książek z biblioteki z Tarnobrzega. Brat Franek, który się przeniósł do Krakowa, nadsyłał mi, ile tylko mógł, dzieła najlepszych pisarzy. Polityką się jednak mało zajmowałem. Najwięcej mnie pociągało Stronnictwo Ludowe, którego prezesem był Jan Stapiński. Tygodnik ich „Przyjaciel Ludu" czytałem chętnie ale czytałem i „Ojczyznę" i „Wieńca i Pszczółkę" księdza Stojałowskiego.

Ksiądz Stojałowski bardzo mi imponował tym, że otwierał oczy chłopom, że mają szukać chleba za granicą, kiedy im nie wystarcza zagon ojczysty. Od czasu jego działalności właśnie zaczęła się emigracja do Niemiec, do Francji, a nawet do Ameryki — i zaczął się w ten wędrowny sposób polepszać los chłopa i robotnika polskiego.

Gdy księdza Stojałowskiego wyklęli z kościoła i nie wolno mu było mszy świętej odprawiać, na swoją odpowiedzialność odprawiał ją po chatach chłopskich. Większą popularnością niż u nas, cieszył się w sąsiedniej wiosce, Sobowie, gdzie u jednego gospodarza, w jego domu, miał zbudowany ołtarz, na którym odprawiał mszę św.

Jako, że ta wioska należy do naszej parafii, w której był proboszczem ś.p. ks. Ciechanowicz, bardzo spokojny i cichy człowiek, Sobowianie namówili księdza Stojałowskiego, by Stojałowskiemu pozwolił wstąpić do kościoła i odprawić w nim nabożeństwo. I nie wiem, jak to było, ale ksiądz Ciechanowicz pozwolił mu wstąpić w progi kościoła.

Tak też i uczynili. Zaprzęgli kilkanaście furmanek, wozy poubierali zielonymi gałęziami i kwiatami i z wielką pompą wjechali do Wielowsi. Stanęli przed kościołem i poszli z księdzem Stojałowskim następnie na plebanię do proboszcza z prośbą, by Stojałowskiemu pozwolił wstąpić do kościoła i odprawić w nim nabożeństwo. I nie wiem, jak to było, ale ksiądz Ciechanowicz pozwolił mu wstąpić w progi kościoła.

Gdym usłyszał turkot wozów i głośne mowy: — Stojałowski jedzie! — rzucam pilną pracę w domu i, cokolwiek się lepiej ubrawszy, pędzę jak inni ciekawi do kościoła. Kiedym przeszedł progi świątyni, msza się już zaczęła. Ujrzałem przed ołtarzem człowieka wysokiego, znękanego częstym więzieniem i prześladowaniem. A gdy się obrócił do ludu, zobaczyłem twarz pociągłą, suchą i zmizerowaną. Usłyszałem w tej chwili na kościele ciężkie westchnienie i cichy płacz. I mnie przeszło coś takiego, czego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Bo tylko tyle, że był to głośny człowiek w tym czasie, obrońca i doradca chłopa i robotnika, a przy tym ksiądz!..

Po odprawieniu Mszy świętej, gdy odszedł od ołtarza, ludzie tłumami zaczęli wychodzić. Wyszedłem i ja na cmentarz przed kościół. Stojałowski stał między setkami swego ukochanego ludu wyprostowany i uśmiechnięty, jak by mu 20 lat ubyło. Co mnie najwięcej w nim uderzyło, to twarz szlachetna i dobra, a szczególnie ten wzrok jego miły.

Ale wracam do siebie. Rok za rokiem leciał, zahukany pracą i zarobkiem (pracowałem u ludzi jako niezły cieśla) anim się nie spostrzegł jak upłynęło 5 lat od czasu, gdym się ożenił. Byłem już ojcem dwojga dzieci, córki i syna.

Jak już wspomniałem, podzieliliśmy się z bratem placem ojcowskim. Nie bardzo to jednak wygodne było, bo i ciasno, i kłopoty rosły między kobietami naszymi z dnia na dzień. Trafiło się akuratnie wtedy, że jeden z zamożniejszych gospodarzy, wielowiejskich, Ossowski, wyjechał na kolonię do Wschodniej Galicji. Brat skorzystał z okazji i kupił po nim obszerny ogród z dużymi budynkami, sprzedawszy przed tym agentowi, część swoją naszego rodzinnego placu.

Aha, wypadło teraz rzucić mi swoją marną cząstkę i przenieść się na plac po bracie, bo to i budynki tam były lepsze i dom zupełnie nowy i pół morgagruntu przy nim. Zrobiłem dobrą tranzakcję, tylko z tym wyjątkiem, żem się zadłużył mocno.

Nie miałem innego wyjścia, by spłacić długi, trzeba było jechać za ocean do Ameryki na robotę. Tak postanowiłem i zaraz zająłem się przygotowaniem formalności paszportowych. Jechał wówczas po raz drugi do Ameryki jeden z wioski, niejaki Trela, uzbierało się przy nim pięciu chłopa, brat mój, Kazimierz, ruszał też za ocean.

Nastąpiły czułe i rzewne pożegnania z rodzinami i odjechaliśmy furmankami milę drogi do stacji kolei żelaznej.

Na granicy, gdy nas chwycili agenci od kart okrętowych, to już skończyła się nasza wolność. Musieliśmy się zdać na ich łaskę aż do wsiadania na okręt.

Podróż morska nam z początku zaimponowała. Było to w sierpniu 1909 roku, pogoda sprzyjała. Ciepło, muzyka gra, więc nam się wydawało, że to jakaś krótka wycieczka spacerowa. Ale to dobre trwało tylko 3 dni. Potem nie ominęła nas ciężka choroba morska, jednych lżej i krócej, innych dłużej i ciężej trzymała. Ja należałem do pierwszych. Tylko dwa dni męczyła mnie ta choroba, nie tak ciężka jak nudna.

Nareszcie przeszła i ona, i każdy otrząsnął się, że jakoś to będzie. Nie będę tu opisywał wrażeń z podróży morskiej, bom nie literat. Podług mnie jednak, żaden pisarz nie opisze burzy morskiej z taką dokładnością, jak jest w rzeczywistości, gdy nie widział jej sam na morzu.

Nareszcie 12-go dnia ujrzeliśmy Posąg Wolności Ameryki. Znak to był, że już niedługo skończy się nasza monotonna podróż morska. Jakoż na drugi dzień zobaczyliśmy pierwsze portowe miasto, Nowy Jork. Wieczorem okręt nasz dobił do przystani.

Tyle lat, a jeszcze dziś pamiętam, jakie na mnie zrobił wrażenie widok tej „złotodajnej" Ameryki. Otóż najpierw rzuciła mi się w oczy gorączkowa praca w porcie czarnych robotników. Na strasznej gorączce uwijali się tak, jak by godzina pracy przedłużała im 10 lat życia. Gdym ujrzał dalej setki kominów fabrycznych i z każdego buchające kłęby dymów, to pomyślałem sobie, że i ja będę musiał się zakopać w jednej z takich fabryk — i ani świat o mnie nie będzie wiedział.

Po wyjściu z okrętu wpakowali nas do obszernego budynku, a raczej do dużej szopy i tam przesortowali, gdzie kto miał jechać. Nasz przewodnik pracował przed wyjazdem w Pittsburgu, więc i my z nim tam udawaliśmy się. Partia była zaraz utworzona, a że i pociąg był gotowy — natychmiast ulokowano nas w wagonie, który miał nas zawieźć do Pittsburga.

Gdy przyjechaliśmy do Pittsburga przewodnik nasz poprowadził nas tam, gdzie były wielkie fabryki żelazne. Były one oddalone o 3 kilometry od miasta, więc siedliśmy w tramwaj i jedziemy. Naraz w połowie drogi tramwaj staje, a konduktor mówi, że nie pojedziemy dalej, bo w fabryce jest strajk ogromny.

Nasz przewodnik poprowadził nas przez prerie i łąki. Nagle od fabryk idzie czterech mężczyzn do nas i każe nam stanąć. Pytają się, gdzie idziemy. Nasz przewodnik mówi, że przybyliśmy z kraju. On przed tym tutaj pracował, więc i teraz będzie się starał dostać robotę. Oni się nie zgodzili na jego mowę, bo uważali, że jesteśmy „skiepi" od przerwania strajku. Powiedzieli jednak na to, że pójdziemy do tego domu, w którym nasz przewodnik był na stancji. Jeśli gospodyni potwierdzi słowa, to wszystko będzie dobrze, będziemy przyjęci do strajkujących. Tak się też stało. Gospodyni potwierdziła, że przez dwa lata przewodnik był u niej, więc oni zgodzili się i zrewidowali nasze ubrania, czy rzeczywiście jesteśmy z kraju i dali nam zupełną wolność. Gospodyni zafasowała na nas żywność tygodniową, tj. chleb, kawę, cukier, masło i odrazu zrobiliśmy się strajkującymi.

Najmniejszego pojęcia nie miałem, co oznacza duży strajk w Ameryce (muszę nadmienić, że był to jeden z największych strajków i trwał wówczas przez cały rok). Na drugi dzień, gdy wyszliśmy na świat, ujrzeliśmy taki widok: Jedna ulica szeroka i długa ciągnąca się na dwa kilometry, była przed nami. Stały budynki piętrowe po obydwu jej stronach, jeden przy drugim, bruk był zawalony stosami sprzętów domowych. Policjanci kompanistów wyrzucali oknami i drzwiami łóżka, krzesła, kanapy, a nawet piece. Wszystko bez ładu, na wspólne kupy. Nie mogłem oczu oderwać od widoku wstrząsającego. Dodać jeszcze płacz i krzyk straszny kobiet tam zamieszkałych, a mamy prawdziwy obraz strajku robotniczego w Ameryce.

Na drugi dzień odbył się duży mityng. Na wysokiej górze zasiadło kilkanaście tysięcy mężczyzn i kobiet. Przywódcy wygłaszali mowy w różnych językach, a policjanci na koniach jeździli dookoła góry i wywracali a nawet zabijali niewinnych ludzi. Oto zdarzenie, które działo się w wolnej Ameryce.

Siedzieliśmy cały tydzień, uradziliśmy wreszcie, że Ameryka to nie sam Pittsburg i postanowiliśmy jechać do Chicago, jako do głównej ostoi Polaków. Tak też uczyniliśmy. Gdy przyjechaliśmy do Chicago, był tam duży zastój w robotach. Co trzeci robotnik ledwie robił i to nie wszystkie godziny. Dużo tutaj było ludzi z naszej wioski. Pocieszali nas, że jakoś to będzie, bo zaczynają fabryki ruszać. Ja w Chicago miałem swego krewniaka bliskiego i to już żonatego. Żona jego pochodziła z Galicji od Tarnowa, bardzo porządna i uczciwa kobieta, wiele nam w początkach pomagała i robiła wszystko, aby tylko nam umożliwić pierwsze kroki w Ameryce. Mąż jej, a mój kuzyn, pracował w jednej z fabryk już 8 lat. Był tam już starszym molderem, więc dał nam słowo, że przez niego dostaniemy robotę. Jakoż nie długo czekaliśmy, bo już czwartego dnia kazał nam iść ze sobą do swojej fabryki. Postawił nas przed bramą i kazał czekać. Po upływie pół godziny — wychodzi on, a za nim gruby, w średnim wieku mężczyzna, obydwaj rozpychają się między robotnikami. Podszedł do nas i wskazał, mówiąc do grubasa: to oni.

Grubas popatrzył na nas i kiwnął ręką, aby iść za nim. Gdy weszliśmy do środka, tam już w całej pełni wrzała robota. Huk, krzyk, ogień w piecach bucha — oszołomiło nas na chwilę. Do tego jeszcze to jeden krzyknie, to drugi mu dopowie — grynal z kraju! Grynal (tak nazywały świeżo przybyłych starsze jednostki, chwaląc się już dłuższym pobytem w Ameryce). Nasz dobroczyńca na to wszystko nie zważał, tylko prowadził nas dalej. Nareszcie brata postawił w jednym miejscu, mnie w drugim, oddając nas innym do pomocy i mówiąc, by mieli nad nami opiekę.

Tak znaleźliśmy się w dużej odlewni chicagowskiej, jako pionki wśród tysięcy pracujących robotników.

Karol Piętak

Z WIELOWSI

WSTĘP

Ludwika Gruszczyńska urodziła się w r. 1890 w tej samej Wielowsi, gdzie wójtował ojciec Karola Piętaka. Fragmenty obu pamiętników sięgają, mniej więcej, do r. 1910, dając obraz ostatniego dziesięciolecia XIX w. i pierwszego dziesięciolecia XX-go na wsi polskiej (w zaborze galicyjskim) w szczególności w klasie małorolnych (Piętak) i wyrobników (Gruszczyńska).

Jeszcze ojciec Karola dzierżył wójtostwo. Na to złożyły się osobiste zdolności ale również znaczenie rodu, za dziadów pewnie jeszcze zamożnego, kmiecego. Karol od dzieciństwa wiedzie już jednak żywot charakterystyczny dla biedoty, służy we dworze, idzie na flis, potem na roboty do Prus. Zatem „proletariusz wiejski", jak nazywa ojca Stanisław Piętak. Czy tak długo naprawdę? Rodzinie groziła dalsza deklaracja, rozdrobnienie ziemi, ubożenie. Ale rodzina broni się przed rozpadem. Jeszcze ojciec Karola, sześciomorgowiec na dobrej ziemi trzyma się w ocenie ekonomicznej bliżej średniaków, w ocenie społecznej, jako wójt, bliżej arystokracji wiejskiej, bogaczy.

Jeszcze można „planować" los dzieci. Karol i drugi brat będą dziedziczyć, przez małżeństwo dopełnią gospodarkę, a dalej niech szukają dróg do rozrostu i okrzepnięcia gospodarki. Trzeci brat — do szkół, celowo. Mórg tłustej ziemi zje początek edukacji ale i jemu to się opłaci i rodzeństwu. Karol po ojcu bierze dwa morgi i budynki, za żoną trzy morgi. Po fornalstwie, po flisie, po „saksach", „gospodarz na 5 morgach... zakasaj rękawy, żebyś był kimś na świecie!" To nie była droga proletariusza ani jego świadomości, to była zaciekła obrona przed sproletaryzowaniem i przed klasowym widzeniem wsi z tej pozycji. Dlatego z programu ks. Stojałowskiego zrozumiał i zapamiętał jedno: „szukać chleba zagranicą, kiedy nie wystarcza zagon ojczysty." To mu „zaimponowało", jak wspomina. Dlatego w jego pamiętniku (we fragmencie drukowanym) nie ma nawet ubocznej charakterystyki własnej klasy, nie ma — biedoty przy właściwym rozłożeniu akcentów w tym zestawieniu przecież nie statycznym a w ruchu tragicznej walki klasowej.

Kiedy Gruszczyńska wychodzi zamąż w r. 1910 mając 20 lat, rok wcześniej Karol Piętak, od lat żonaty, chłop już pod czterdziestkę wyjeżdża do Ameryki. Nie z nędzy, nie z ostatecznej konieczności. Zaokrąglił gospodarkę, ale zaciągnięta pożyczka grozi załamaniem tej ulepszonej pozycji, a więc do Ameryki po złote runo. Jest tu i dodatkowy bodziec. Gruszczyńska pokazuje, że w latach 1900 — 1910 zaczęły się na wsi zmiany „nieco na lepsze". To znaczy ugruntował się kapitalizm, ekonomiczne formy jego organizacji produkcji na wsi i handlowej ekspansji. Jest kasa Stewczyka, sklep Kółka Rolniczego, koszykarnia, pisma ludowe, patronactwo endecji, świetlicowy ruch młodzieży. Pisaliśmy już nieraz, że z groszów komornic i bandosów w kasie Stefczyka pożyczki zasobne brać mogli ci, których stać było na oddanie. Wspierały one bogatych gospodarzy, podobnie jak ich spółkowy sklep, jak kółko rolnicze. Endecja torowała im we wsi uznanie, paraliżując klasowy opór i nienawiść biedniaków. W tej atmosferze skok Karola Piętaka za ocean miał za przyczynę ambicję, do jakiej pobudzał kapitalizm gospodarzy o większych szansach .

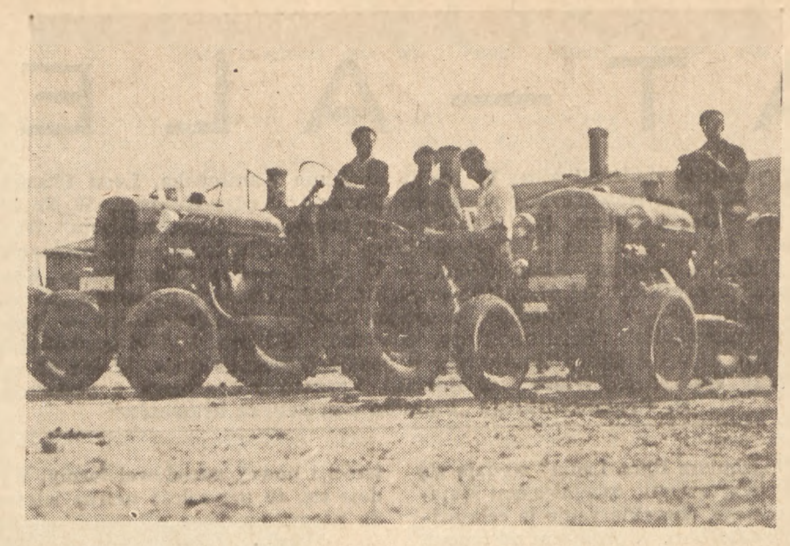
To u Gruszczyńskiej, z domu wyrobników, wyraża się klasowo inne stanowisko, mimo, że i ona osadziła się na stosunkowo pomyślnej pozycji — wiejskiej krawcowej. Jej charakterystyka wciąż akcentuje rozwarstwienie wsi na: bogaczy i biednych oraz zależność tych ostatnich, ich poniżenie, spychanie, wykorzystywanie. To u niej jest zauważony rok 1905. Bo rewolucja 1905 r. w Królestwie Kongresowym wiązała się z jej klasowym losem, tak jak dla Karola Piętaka znaczenie strajków i walki proletariatu nabrało wagi dopiero w Ameryce, dokąd przyjechał, aby za powrotem stanąć w rzędzie pierwszych gospodarzy w okolicy.

I tam to dopiero odczuł, że wypadnie mu się „zakopać w jednej z takich fabryk, gdzie świat o mnie nie będzie wiedział", gdzie „znaleźliśmy się jako pionki wśród tysięcy pracujących robotników". Oto była edukacja ks. Stojałowskiego. Robotnik — pionek, człowiek, o którym świat nie pamięta... bo wkapitalizmie, bo na obczyźnie.

Czytamy te pamiętniki w szóstym roku Polski Ludowej, kiedy od lat obalony kapitalizm, kiedy robotnik nie na obczyźnie, a w kraju, u władzy, kiedy w sojuszu chłopsko-robotniczym wieś odnajduje i wchodzi na JEDYNĄ DROGĘ SZCZĘŚCIA I SPRAWIEDLIWOŚCI DLA WSZYSTKICH. Niech nam te pamiętniki pomogą wymierzyć odległość w czasie i przemianach na wsi polskiej.

Piotr Chmura

* * *



Odprawa w POM Nr 33 Lwówek przed wyruszeniem traktorów do pracy.
foto — WAF



Centrala Tekstylna skupuje za pośrednictwem swych ambulansów wełnę owczą od ludności góralskiej.
foto — WAF

LUDWIKA GRUSZCZYŃSKA

BYŁA WALKA

(Fragment pamiętnika)

Kilka niskich biednych chałupek stojących na końcu wsi, z małymi ogródkami, otoczonymi płotami z wierzbowego chrustu, — przypomina mi dzieciństwo, bo w jednej z takich zaczęchałup nie byli wyrobnikami, bo łam moje życie. Mieszkańcy tych posiadali od pół do dwóch mórg pola; byli to biedni chłopi, z tego nie mogli przecież wyżyć, szukali więc różnych zarobków; najwięcej wczesną wiosną, gdy tylko lody spłynęły, wyruszali na flis. Kobiety starały się przez lato coś przychować, by w zimie wraz z dziećmi jako tako biedę przeżyć. Wystarczało to ledwie na nędzne życie, marne jedzenie a okrycia i butów już nieraz nie było za co kupić.

Wieś nasza była duża (widocznie też od tego wzięła nazwę — *Wielowieś*), w ładnym położeniu, dwa kilometry od Wisły. Miała szkołę, kościół, plebanię z proboszczem i wikarym, klasztor dominikanek, dwór i gorzelnię, urząd gminny, kółko rolnicze, no i na omastę karczmę hrabiego Tarnowskiego z szynkarzem.

Do tego dworu chodziły sąsiadki, a z nimi moja matka na zarobek, żeby sobie móc kupić trzewiki. Płacono im po 15 centów dziennie, zaś trzewiki kosztowały wtedy 8 koron. Zimową porą wychodziły, gdy jeszcze było ciemno, a wracały też już w nocy. Pod dworską bramą wytupywały skostniałymi od mrozu nogami, czekając godzinami na przyjęcie do pracy. A nieraz z płaczem wracały do domu, gdy ich nie przyjęto — było ich za dużo.

Najgorzej biednym ludziom było w zimie. W każdej chałupie okna były zamarznięte a śnieg na szybach zalegał na grubość chyba pięciu centymetrów. Tyle się świata widziało przez okna, co się zdołało odchuchać krążek na szybie. Okna zamarznięte na początku zimy nie odmarzały aż na wiosnę.

Gdy bywało bardzo zimno, to nas, wszystkie dzieci, wsadzano na piec. Sąsiedzi twierdzili, że podobnoć w naszej chałupinie miało być najcieplej, więc zimowymi wieczorami schodzili się do nas. Ojciec mój lubił czytywać książki na głos, bywały też gazety, więc siedzieli, słuchali, radzi byli ludzie wiedzieć, co się w świecie dzieje, schodziło im też nieraz do północy. Większe dzieci siedziały na piecu, na z w i e r z c h o w n i c y; tak się nazywał wierzch pieca. Piece budowano obszerne, nieraz zajmowały aż trzecią część izby. Chodziło o to, aby było cieplej, było też na nich wiele miejsca, że można się było na nich bawić.

Prawie w każdej chałupie była drewniana k o l i b k a z wytartymi biegunami, przy kołysaniu szturkała się z boku na bok, a dziecku przywalonemu w niej poduszką, przywiązaną do owej kolibki sznurkiem, tłukła się głowa to o jedną to o drugą stronę. Aby dziecko prędzej usnęło i przestało się drzeć, przyśpiewywano mu różne kołysanki. Niektóre z nich pamiętam jeszcze:

> Uśnij ze my, uśnij,
> albo my urośnij,
> Mozes sie my przydać
> gąski w pole wygnać.
>
> Jak wygunis gąsiątka,
> przyjdzies po cielątka,
> oj, jako to posługa
> z małego dziciątka.

I jak śpiewali, tak robili, bo już od czwartego roku życia musiało dziecko gęsi paść. Była to jeszcze dla dzieci najlżejsza robota. Większe musiały już pracować dużo ciężej. Najcięższą pracą było mielenie w żarnach. Cóż to była za męka obracać dwa kamienie obiema rękami! Pot aż oczy zalewał. Nieraz się kląć chciało, za co mnie moja babcia karciła:

— A nie przeklinoj, jucho, bo sie musis z tego spowiadać.

Dziecku wiejskiemu nigdy się świat nie uśmiechał. Zgnębione biedą, pracą nad siły, nie tylko, że nie miało za wiele do jedzenia, ale jeszcze musiało przestrzegać postów, nakładanych przez księży. Mięsa i tak się nie widywało, chyba że gdzieś komuś zdechła krowa albo złamała nogę, to ją dorżnięto i rozsprzedano. Nakazywano jednak post od nabiału, w wielkim poście zaś w środy, piątki i soboty nie wolno było napić się nawet serwatki spod owarzanego na ser mleka, bo i z tego trzeba się było spowiadać.

Dziecko wiejskie właściwie nie znało dzieciństwa. Gdy już wyszło obszturkane tą kolibką i — jak mu wyśpiewali — poszło do tych gęsi i tych cielątek, tak przy nich nieraz pozostawało i marnowało się, mimo że nieraz było zdolne i garnęło się do nauki. Jednak przysłowiowa bieda z nędzą nie pozwalały rodzicom na kształcenie choćby jednego dziecka.

Zaś bogaci chłopi nawet nie umieli użyć swego bogactwa. Rozleniwieni, bo najemnicy na nich pracowali, zaniedbywali gospodarkę i całymi dniami wysiadywali w karczmie przy wódce. Raz, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, szłam z dziadkiem koło karczmy. Dziadek chciał mi kupić cukierków i weszliśmy tam. Karczmarz trzymał wódkę w naczyniu blaszanym mogącym mieścić ze cztery litry. Przy tym naczyniu był przymocowany na łańcuszku też blaszany półkwaterek, nazywany b u k s e m. Taki buks kosztował 5 centów. Co chwila któryś z pijaków wpuszczał takiego buksa do blaszaka z wódką a karczmarz tylko wódki dolewał. W ten sposób niejeden pijak przepijał nawet pole, a szacherkom z obliczaniem długów i procentów nie było końca. Gdy wtedy weszłam tam z dziadkiem, jego sąsiad Walek Głuch był już tak spity, że co chwila upadał na posadzkę ułożoną z czerwonej cegły. Miał rozbity nos i czoło, ale coraz się podnosił, przytrzymując się sztachet, którymi był ogrodzony szynkwas, brał znowu do ręki buksa i pił dalej, przyśpiewując sobie zachrypniętym głosem:

> O Jadwigo ty moja
> oj, ty moja Jadwigo,
> oj, cyś ty nie widziała
> mego bycka krasygo.
>
> Bodaj żeś ty skapioł
> coś my kunia złapoł.
> Com jo się nachodził,
> com ja sie napłakoł.

Potem sobie przytupnął i upadł pod ławkę. Podszedł mój dziadek do Głuchowej.

— Kumo! kumo! a idźcie po Walka, bo w karczmie pod ławką leży, pysk i łeb rozbił!

— A niech zdechnie. Nie pudę, nie pudę!

I Walek spał pod ławką do rana.

Miałam może osiem lat, kiedy zaczęły po wsi chodzić jakieś wiadomości, że po wsiach wędruje ksiądz i naucza chłopów a władze i żandarmi go prześladują. Jednego razu grupka dzieci z naszych chałupek, i ja z nimi, wygnaliśmy swoje stadka gęsi, aby je popaść na rowie przy drodze. Trzeba to było robić ukradkiem, by dróżnik nie dojrzał.

— Pasta, pasta — mówiła do nas sąsiadka Czechowa — a ino uwozojta! Jakby dróżnik sed, to uciekojta, bo by i wos i gęsi zajon!

Było to wieczorem. Nagle jedno z dzieci dojrzało zdaleka jakąś ciemną postać, zbliżającą się ku nam.

— Dróżnik! — krzyknął jeden z chłopców i wszystkie wystraszone zaczęły uciekać z gęśmi, gdzie się dało. Ja, najmniejsza z nich, ledwie zdążyłam wpędzić gęsi na wodę przysiadłam na kupce kamieni, oczekując ze strachem, że dróżnik zajmie mnie razem z gęśmi. Wytrzeszczonymi oczami patrzyłam w stronę zbliżającej się postaci. I odetchnęłam. To nie był dróżnik, tylko ksiądz. Gdy się do mnie zbliżył, wstałam z kamieni. On mnie pogłaskał po głowie i zaczął wypytywać o nazwisko, dom, w którym mieszkam, szkołę, klasę, do której chodzę. To mnie ośmieliło i powiedziałam, że już umiem czytać i pisać.

— A twój tatuś czyta co?

— A czyta książki.

— A jakie czyta książki?

— O Wołodyjowskim...

— A gazety czyta?

— Czyta.

Nie wiedziałam jednak jakie. Dał mi więc jakąś gazetę i powiedział:

— Daj to tatusiowi, niech czyta. A dla ciebie jest tam dodatek. Przeczytaj, jak się ta gazeta nazywa.

Przeczytałam: „Wieniec i Pszczółka".

Potem wyjął obrazek z Chrystusem zmartwychwstałym i chciał mi go dać. Ale mnie się ten obrazek jakoś nie podobał, bo nie był kolorowy i powiedziałam, że mam ładniejsze.

— Więc powiedz tatusiowi, że ci to dał ksiądz Stojałowski.

Pożegnał mnie ruchem ręki, ja się ukłoniłam po szkolnemu i gdy on szedł w stronę Sandomierza, ja biegłam co tchu do domu opowiedzieć o niezwykłym dla mnie wydarzeniu.

Było to chyba pierwsze w moim życiu zetknięcie się z działaczem ludowym. Pozostało jako dziecinne wspomnienie.

Bardzo lubiłam naukę. Szkołę u nas prowadziły zakonnice dominikanki jako nauczycielki. Były to ostatnie lata ubiegłego wieku i pierwsze obecnego. W szkole był rygor i dyscyplina klasztorna, wobec niektórych dzieci niesprawiedliwa. Kary cielesne były czymś zupełnie normalnym. Za najmniejsze przewinienie było bicie. Chłopców bił na korytarzu na ławce stary stróż szkolny Rutyna. Na rozkaz nauczycielki zakonnicy wpadał chłop wąsiasty z zatabaczonym nosem i wyszczerzonymi zębami, chwytał winowajcę za uszy, wyprowadzał go z klasy i za chwilę rozlegał się rozpaczliwy krzyk chłopca, a my, wszystkie dzieci w klasie, krzyczeliśmy razem z nim. Dziewczynki były bite przez nauczycielki zakonnice czworograniastą linią, gdzie popadło. Pamiętam, że pewnego razu przyjechał inspektor szkolny powiatowy i wtedy kilkoro ojców i matek pobitych dzieci poszło do niego z zażaleniem. Od tego czasu ustało bicie chłopców przez stróża, ale czworograniasta linia długo była stosowana.

W traktowaniu wyróżniano też dzieci rodziców bogatszych lub bardziej klerykalnych. Raz pokłóciłyśmy się, zwyczajnie jak to dzieci, z koleżanką, córką takiej klerykałki. Za córkę obraziła się matka i przyszła do szkoły na skargę na mnie. Na środku klasy stała Gierka Trelina, baba brudna jak ciemna noc, w butach z cholewami aż zielonymi od gnoju, spod sterczącej na opasłym brzuchu spudnicy widać było równie brudne kolana — stała i czekała, bo mi ją kazano w nogi pocałować za to przewinienie! Zakonnica biła mnie ową graniastą linią, gdzie dopadła, ale się zacięłam i nie upokorzyłam, czułam za bardzo niesprawiedliwość.

Różnice majątku i pochodzenia odbijały się nawet na usadzaniu dzieci w ławkach szkolnych. W pierwszych siedziały najbogatsze, potem biedniejsze, aż w ostatnich dzieci służby folwarcznej. Zakonnice obok nauki czytania, pisania, robót i innych przedmiotów starały się wpajać w wychowanków uniżoność i pokorę wobec „jaśnie państwa" i w ogóle możniejszych. Rok szkolny kończył się uroczyście: odbywał się egzamin w udekorowanej sali, wystawa robót ręcznych itd. zapraszano na tę uroczystość wójta, niektórych członków rady gminnej, przyjeżdżali księża, przychodziła „matka wielebna", przyjeżdżała też hrabina Tarnowska, przed którą zawsze jedna z dziewczynek deklamowała i podawała jej kwiaty. W deklamacji było oczywiście dużo przychlebnych słów o dobrodziejstwach, hołdach, łaskawości jasnej pani a nawet byliśmy „my poddani". Przypadła i na mnie kolej takiego występu, który skończył się zgrzytem i ogólną konsternacją. Mianowicie, gdy wybębniłam tradycyjne powinszowanie, powstał ówczesny ludowiec, członek rady gminnej i zastępca posła Franciszka Krempy do parlamentu austriackiego, Władysław Ossowski i zaprotestował przeciw uczeniu i zmuszaniu dzieci do wygłaszania podobnych bzdur, wykorzystywania zdolności dziecka do wbijania mu w głowę poddaństwa. Na znak protestu opuścił salę. Zakonnice stały się czerwone jak przysłowiowe piwonie, hrabina Tarnowska zimna i obojętna patrzyła na niego, jak gdyby to nie do niej się odnosiło, a ja, bidna ofiara, znieruchomiałam z kwiatkami w wyciągniętej ręce, których nie miał kto ode mnie odebrać. W nagrodę dostałam potem — książkę do modlenia i różaniec. Po skończeniu całej uroczystości pozostali klerykałowie rzucili się do rąk pan hrabiny ze współczuciem i przepraszali za obrazę przez niegodnego ludowca.

Tak wychowywano ludzi. Od dziecka był kij, kłamstwo, wyzysk i wódka. Przecież na to były gorzelnie i karczmy, należące do hrabiów i obszarników. Do tego wszystkiego jeszcze obstraszano leb piekłem, spowiedzią i pokutą. Do wielkanocnej spowiedzi trzeba było wykupić kartkę u organisty z pieczątką parafialną.

Do takiej pokuty wybrała się moja ciotka. Była biedna, na wyrobku, ciężko jej było żyć. Gdy urodziła już dziesięcioro dzieci, narzekała na swój los, że Pan Bóg o niej zapomniał. Za to ksiądz na spowiedzi zadał jej pokutę: miała iść w nocy o północy na cmentarz chowalny i na środku cmentarza pod wielkim krzyżem odmówić różne pacierze. Było to w zimie. Bała się sama iść i zwierzyła się z tego mężowi. Ten się na to oburzył i powiedział jej, aby nie szła, ale kiedy się uparła, odprowadził ją pod bramę cmentarną i uciekł. Ona sama — jak mi opowiadała — weszła na cmentarz, uszła parę kroków i poczuła, że pot wystąpił jej na całe ciało i spływa po plecach.

— Noc była widna, trochę szarawa. Nie doszłam do krzyża, opuściły mnie siły, upadłam, bo pod krzyżem kogoś dojrzałam. Nie myślałam o żywych... Ocknęłam się wreszcie, zaczęłam się wpatrywać coraz lepiej i rozpoznałam żywą osobę. Przysunęłam się ku niej i zobaczyłam, że to Halka... moja sąsiadka... i ona do mnie nie mogła się ze strachu odezwać, przelękła się mnie, gdy usłyszała za sobą moje człapanie. Odprawiała taką samą pokutę. Po przyklęknięciu i odmówieniu zadanych pacierzy poczułam, że spocona koszula zmarza na mnie na kość; ona też na to zaczęła narzekać. Wybiegłyśmy z cmentarza i dyrdkiem leciały do domu. Wpadłam do izby całkiem przemarznięta, mój mnie zeklął od głupich wiariatek

Ale już było za późno i obie pokutnice rozchorowały się ciężko i ze strachu i z przeziębienia. Po długiej chorobie i kilku płucnych krwotokach moja ciotka umarła a wkrótce po niej i owa sąsiadka Halka.

Ciężkie było życie dla biednej młodzieży. Młodzież dorastająca musiała iść na zarobek do dworu lub — zaczęła się wówczas emigracja — jechać za granicę „na Saksy". Ja pracowałam z rodzicami na dwóch morgach pola. Potem u wiejskiej krawcowej nauczyłam się szyć a rodzice wzięli mi na raty maszynę do szycia, którą spłacałam już z własnych zarobków. Przy tym już pozostłam, bo o kształceniu nie było mowy, najwyżej mogło być marzenie.

W tym czasie we wsi zaczęły się zmiany nieco na lepsze. Starzy zacofańcy wymierali, wzrastali ludzie młodsi, których interesowało życie wsi gospodarcze i społeczne, którzy prenumerowali gazety i pisma ludowe i postępowe. Mimo klątw rzucanych z ambon na tych, którzy czytają *„Przyjaciela Ludu"* i *„Naprzód"*, nikt z nas nic sobie z tego nie robił. W powiecie pracowali działacze ludowi. We wsi założono kasę Stefczyka, wybudowano drogę przez wieś, obsadzono drzewkami, już się nie tonęło w błocie. Stworzono sklep Kółka Rolniczego, założono wielką koszykarnię, w której chłopcy i dorośli mieli zajęcie i wyplatali piękne rzeczy, które wysyłali w świat. My najmłodsi założyliśmy młodzieżowe koło ludowe, chór śpiewacki, czytelnię i urządzaliśmy różne imprezy. Oczywiście w porównaniu z dzisiejszym ruchem młodzieżowym i jego możliwościami było to może nie wiele, ale za to w porównaniu z zacofaniem, jakie było przedtem — były to dla nas duże osiągnięcia. Jeśli chodzi o księży, to nie wszyscy z nich byli zacofani, wśród młodszych zwłaszcza bywali i bliscy ludowi. Nas uczył śpiewu i pomagał nam wikary ksiądz Zych, władze kościelne jednak nie pozwoliły mu być długo między nami. Do chóru śpiewackiego garnęli się nawet starsi chłopi. Pamiętam np. takiego Jana Buczka, poważnego gospodarza, który liczył wtedy blisko siedemdziesiąt lat i śpiewał pięknym silnym basem. Śpiew bardzo ludzi zespalał, a po śpiewie odbywały się pogadanki polityczne, co też najwięcej ciekawiło starszych.

Przyszedł rok 1905. Z napięciem oczekaliśmy wiadomości, o ile było można, śledziliśmy wydarzenia. Tymczasem rewolucja upadła a zaczęła się przeprawa uciekinierów — powstańców na naszą stronę Wisły. Przez Wisłę przeprawiali się nocami. Nasz dom stał, jak wspomniałam, na krańcu wsi i u nas była zorganizowana pierwsza dla nich opieka. Dawano nam wcześniej znać, której nocy będą przechodzić. Nam dawał wiadomości Ferdynand Kuraś (poeta ludowy a nasz krewny). Od kogo on miał polecenie, tego się nie dowiedziałam. Uciekinierzy bywali to starsi i młodsi mężczyźni. Czasem było ich kilku naraz, wpadali najpierw do stajni i do siana na strych a dopiero rano przychodzili do izby i po ciepłym posiłku, na jaki nas było stać, wędrowali dalej. Wzmocniono straż graniczną. Pewnego razu zawiadomiono nas jak zwykle, żeby się w nocy spodziewać „gości". Przed wieczorem tego dnia zawitali do nas żandarmi austriaccy. Kilku przyjechało na koniach w stronę Sandomierza a kilku pieszych rozlazło się po chałupkach. Niby to zapisywali psy, że nie uwiązane, niby chłopaków, że łapią w potrzaski szczygły... Byliśmy w strachu. Była jednak czujność, bo akurat tej nocy nastąpiła przerwa i uciekinierzy — jak u nas pospolicie nazywano rewolucjonistów — nie przyszli. Żandarmi kręcili się po okolicy długo w noc, zaś następnego wieczoru już tylko jeden żandarm przyszedł do nas, do izby, i mówił, że jest bardzo zmęczony i chciałby spocząć. Był wtedy straszny mróz i śnieżna zawieja; wydawało się, że zostanie na całą noc. Zrobiło mu się więc herbaty, jedną z kwaterką wódki i drugą rumu. Wypił, położył się na ławce, dało się mu nawet jaśka pod głowę. I tak zasnął biedaczek, że nic nie słyszał, jak goście których miał pilnować, przyszli. A było ich siedmiu tej nocy.

I tak długo trwała uciekinierka ludzi przed szubienicą lub więzieniem. Mniej więcej w tym czasie, dokładnie nie potrafię określić, ale było to gdzieś między 1905 a 1907 rokiem, kiedy już ta przeprawa ustawała, byłam świadkiem takiego zdarzenia. W czasie żniwnym — a zaraz za naszymi chałupami rozciągały się szerokie niwy dworskie, które sięgały aż ku Sandomierzowi — zaraz za naszą ścianą wiązano pszenicę. Dobiegły mnie wesołe pokrzykiwania i śmiechy rozbawionych dziewcząt, moich koleżanek, które pracowały we dworze „na zarobku". Wyjrzawszy zobaczyłam, że wiązały one dwóch mężczyzn powrósłami w snopki. Był u nas taki zwyczaj, że gdy zaczęto wiązanie zboża, to robotnicy wiązali właściciela lub rządcę dla okupienia się. Jednym z tych związanych był zarządca dworu a drugim wysoki, przystojny młodzieniec, który był jego gościem, krewnym czy znajomym, bawiącym tutaj jakoby w przejeździe kilka dni. Wesoły, ubawiony tym wiązaniem, musiał się im okupić. Wstąpił do nas napić się wody i otrzepać ze słomy. Potem poprosił o pióro i atrament, siadł przy stole i coś pisał do wieczora. Podczas pisania przygadywał sobie od niechcenia: o tak, *przyjdzie czas, co będzie nasz.* I znów pisał. Jak się potem okazało, był to rzeczywiście znajomy czy nawet krewny owego zarządcy— Feliks Dzierżyński. Rodzina jego zresztą mieszkała w naszym powiecie jeszcze w okresie dwudziestolecia. Nazwisko to doszło nas jeszcze w 1917 roku, kiedy to jemu przyszedł ten czas, o którym sobie pogadywał.

Czasem się teraz usłyszy złośliwe powiedzenie, że „wymyślono jakąś tam walkę klasową", że tego niby przedtem nie było. U nas, na wsi istniała ona zawsze i odczuwało się ją na każdym kroku, tylko że się tego nie nazywało walką klasową, nazywało się to: d z i o d i b o g o c. W tych słowach mieściło się wszystko. Bogaty zawsze patrzył z góry i wrogo na biednego. Biedny został zawsze wykpiony, wyszydzony i wyzyskany. W domach bogatych już się i dzieci wychowywało w tym duchu, w pyszałkowatości i zarozumialstwie: z tym nie mów, na tego nie patrz, bo to d z i a d y. Nawet bójki na weselach częściej wywodziły się z wyszydzania biednych przez zarozumiałych bogaczy i drażnienia ich, aniżeli z zazdrości o dziewczyny. Zaczynano złośliwymi przyśpiewkami, a gdy się trafiło, że bogaty synek wziął sobie do tańca biedniejszą od siebie dziewczynę, to matka jego siedząca na ławie koło ściany potrafiła przerwać taniec, wywołać go do sieni i tam mu wygrażać paluchem do nosa. Przeważnie zaś synowie bogatych a pysznych rodziców nie wychylali nosa poza swoją oborę i zdawało się im, że cały świat stoi na ich źróbku czy kobyle. Odbijało się i to w śpiewkach.

> Jezdem se jo jezdem
> ojcowisty synek
> Oj wyjadę jo se
> z kurnikiem na rynek.
>
> Ha pod moją klacą
> podkowy kołacą
> wczoraj mnie nie chciały
> dzisioj o mnie płacą.
>
> Leciała, gęgała
> gąsecka siodłato,
> ożeniłbym sie z tobą
> aleś nie bogato.

Dziewczęta też odpowiadały odśpiewkami i też im nie żałowały:

> *Z twem majątkiem bogocu*
> *powieś sie na srocu*
> *pierw bym oszalała*
> *abym ciebie chciała...*
>
> *Oj nie chcę ci jo nie chcę*
> *chłopa bogatego*
> *bobym ci jo była*
> *kobyłą u niego.*
>
> *Ciągnęłabym brony*
> *oroiby mną pole,*
> *nie chcę cie bogocu*
> *jo bidnego wolę...*

Różnice klasowe ujawniały się w każdej dziedzinie, ale otwarcie tego nikt nie napisał. Bogacz nie przyszedł do czytelni, nie przeczytał gazety ni książki, na cel społeczny czy oświatowy centa nie uronił, a jeszcze wyśmiał i wyszydził wszystkie poczynania społeczne. Na bogaczach opierali się księża i obszarnicy, a biednemu, który nie miał się o kogo oprzeć, do kogo poskarżyć ani nie umiał się zorganizować, zawsze wiał przysłowiowy wiatr w oczy.

Ludwika Gruszczyńska

Wokół epiki (7)

GRZEGORZ LASOTA

POEMAT—ALE JAKI?

Poprzednio zabierali głos: W Nr 36 — Anna Kamieńska, Leon Pokora i A. E. Kirło Nowaczyk o poemacie „Janosik“ Nędzy-Kubińca. W Nr 37 „Wsi“ Maria Janion, Jan Błoński — o poemacie „Nad Engelsem“ Wygodzkiego. W Nr 38 ‚Wsi“ P. S. Ziarnik i B. Chęciński — o poemacie „Pleban z Chodlna“ Skoneckiego. — W Nr 41 — Jan Marszałek o „Komunie Paryskiej“ Wł. Broniewskiego, Br. Gołębiowski o poemacie „Rzecz o trasie W—Z“ T. Kubiaka, Seweryn Skulski o „Poematach o gen. Świerczewskim“ Broniewskiego, Lewina, Stillera i Woroszylskiego. W Nr 42 — Andrzej Wasilewski o poezji Woroszylskiego. W Nr 43 — Jerzy Waczyński, Władysław Udalski, Ryszard Jędraszczyk o poemacie K. Gruszczyńskiego „Płomień czerwonych krawatów“

I.

Na początku mała poprawka historyczna. Co prawda nie podjęto dotychczas zasadniczej dyskusji związanej z drogami rozwojowymi poematu epickiego — jak zauważyła redakcja „Wsi“ zagajając dyskusję — to jednak na ten temat wypowiadali się już oficjalnie niektórzy publicyści i poeci. Nie chodzi tu rzecz prosta o przyczynki, ale o właściwe naświetlenie sytuacji w której kształtowały się po wojnie poglądy o nowym typie poematu. Najbardziej charakterystycznym wyrazem nie zrozumienia kierunku rozwojowego polskiej poezji współczesnej był artykuł Józefa Piątka (?) w numerze 5 (1949) „Wsi“. Autor po przeprowadzeniu krótkiej i powierzchownej analizy dziejów poematu w okresie 20-lecia dochodził do wniosku, że właściwie nie ma do czego i do kogo nawiązywać, a sam poemat nie ma żadnych perspektyw. Piątek pisał:

„I oto w roku 1948 nagle jak z rękawa zaczynają się sypać poematy. Jak wytłumaczyć taki bujny urodzaj? Sądzę, że tzw. hasło uspołecznienia poezji, upolitycznienia jej, wniosło nazbyt wiele treści, które nie mogły się zmieścić w ramach konstrukcyjnych zwykłego wiersza. Tylko że te nowe wartości okazały się nazbyt dynamiczne. Oszczędność wyrazu poetyckiego zastąpiono słowolejstwem, gadulstwem.

...W ten sposób poetykę Pablo Nerudy wmontowano w technikę Eluarda, połączoną z retoryką Majakowskiego i charakterystycznym dla poezji rosyjskiej ostatnich czasów ludowym gawędziarskim tonem. Ten właśnie ton ludowości naśladuje Woroszylski stwarzając dysonans między zamierzoną rewolucyjną treścią a przyjęciem zapóźnionego u nas schematu ludowej gawędy...

...Majakowski jest zjawiskiem niepowtarzalnym... I jego wielkość m. in. polega na tym... że jest jedyny. Można się u niego uczyć... żeby zrozumieć na ile odmienną drogą winien kroczyć w naszych czasach poeta, który chce być naprawdę politycznym pisarzem“.

Trudno było naprawdę zmieścić w krótkim felietonie więcej bałamutnych twierdzeń nie ukazujących żadnych perspektyw, negujących wszystkie wzory.

Felietonik szybko znalazł odzew. Mieczysław Jastrun w artykule wstępnym 9 numeru „Kuźnicy“ (1949) uznał go za objaw faktu iż... „krytyka zaczyna się bronić przed nazbyt już jaskrawymi nieporozumieniami w dziedzinie poetyki“.

Nie dziwi nas fakt, iż w takiej atmosferze poemat Gruszczyńskiego doczekał się tylko jednej recenzji... w „Dziś i jutro“. A przecież omówienie „Płomienia czerwonych krawatów“ pozwoliłoby na uniknięcie wielu błędów w późniejszym okresie. Gruszczyński w najpełniejszy sposób sięgnął do współczesnej tematyki, adresując swój utwór do aktywistów Związku Walki Młodych („...niech krytyk kokosza gdacze — ja ZWM rozsławiam“). Przy tych wszystkich osiągnięciach poemat „Płomień czerwonych krawatów“ trzymał się niewolniczo wzorów Majakowskiego, brak było w nim indywidualnego wyrazu poetyckiego Gruszczyńskiego. ...Poematy o generale Świerczewskim, bardziej dojrzałe politycznie i formalnie (Broniewski, Woroszylski), stanowiły dalszy krok w kierunku formowania się nowego narodowego w formie i socjalistycznego w treści poematu epickiego.

Krytyka milczała... Świadczyło to o tym, że nowe poematy epickie, niosące ze sobą osiągnięcia treściowe i formalne, przebijały się z trudem przez mur nieufności i oporu. Nie była to rzecz przypadkowa. Suma tych faktów świadczyła o tym, że walka klasowa tocząca się na odcinku ideologii znajdowała swoje odbicie również w sprawach wartościowania form literackich. Nie przypadkowo poemat został uznany za formę przeżytą i nieużyteczną. Niezrozumienie roli większych form poetyckich ma swoje korzenie we wpływach burżuazyjnej ideologii głoszącej degradacje wartości treściowych, niosącej ze sobą jednocześnie rozkład formy. Eliminowanie fabuły, akcji, eliminowanie dramatyczności z prozy i poezji, bezkształtność literatury burżuazyjnej powodowała zahamowanie rozwoju poematu o epickim charakterze. Poemat epicki niosący ze sobą pewne fabularne wątki — został uznany za zjawisko niemal nie poetyckie. Wiersz to nie opowiadanie. Oszczędzajmy słów. Bądźmy skondensowani. Poezja musi być intelektualna— oto niektóre z wysuwanych haseł. Jeżeli w ogóle przykładano jakieś nadzieje do poematu, to perspektywy były związane z poematem — traktatem filozoficznym. Poemat taki (uprawiany przez amerykańskich faszystów i dekadentów, Sphiro, Audens) byłby odpowiednio oszczędny i intelektualny...

Tak więc, szereg słusznych postulatów jak oszczędność słowa„ hamowanie przerostu ładunku uczuciowego— stanowiło dymną zasłonę dla sądów niesłusznych i szkodliwych. Poeci na szczęście nie zważali na rady. Forma poematu znalazła wielu zwolenników i przyniosła szereg wspaniałych osiągnięć

II.

Nowy układ stosunków społecznych, nowe życie rodzącego się kraju, przynieść musiało nowe treści i nowe formy wyrazu poetyckiego. Warto poświęcić tu parę słów tworzeniu się nowych form w ogniu społecznych przeobrażeń. Charakterystyczne: nowe czasy uniemożliwiają nam ścisłe odgraniczenie gatunków. Poemat epicki, poemat liryczny... Te dwa elementy bardzo często przenikają się lub są ze sobą ściśle zespolone. Twórcą nowego poematu socjalistycznego w treści, nowego i narodowego w formie, łączącego w sobie szeroki obraz historyczny, elementy fabularne i całe partie liryczne — był Włodzimierz Majakowski. Poematy „Dobrze“ i „Włodzimierz Iljicz Lenin“ wydają się być szczytowymi osiągnięciami Majakowskiego, charakteryzuje je całkowite nowatorstwo w podejściu do tematu i formy. Majakowski zarzuca tradycyjną przestarzałą formę poematu stanowiącą często powieść wierszem — a posługuje się wielką metaforą, skrótem, rysowaniem typowych obrazów. Poemat przypomina nieraz mobilizujący plakat. Rozważania, dygresje na marginesie głównego tematu bliższe są już poematu tradycyjnego (u nas „Beniowski“ Słowackiego). U Majakowskiego spotykamy ścisłą współzależność elementów lirycznych i epickich:

„Ten dramat
w ojczyźnie się naszej rozegrał
czy
w sercu
rozegrał się,
moim?“ („Dobrze“)

W innym miejscu spotykamy takie zdanie syntetyzujące:

„Carom
pałac
zbudował Rastrelli.
Carowie rodzili się,
żyli,
starzeli“.

(Do nowego typu poematu napewno należy również „Komuna Paryska“— która, jak słusznie zauważył Jan Marszałek, nie jest poematem w całej pełni epickim. Należy sądzić, że nie jest to jej wadą...). Współczesna poezja radziecka również często sięga do poematu. Charakter tych poematów jest różnorodny treściowo i formalnie. Jedni kontynuują wprost Majakowskiego, grawitując do epiki (Gornostajew), inni starają się wykorzystać zdobycze Majakowskiego osiągając już własny i oryginalny wyraz (Łukonin, Kirsanow w poemacie „Aleksander Matrosow“). Jeszcze inni nawiązują do nurtu twórczości ludowej do gawędy żołnierskiej (Twardowski w poemacie „Wasil Tiorkin“, G. Leonida (poemat o Stalinie). Jeszcze inni sięgają wprost do tradycyjnych form (Gribaczow w poemacie „Kołchoz Bolszewik“).

Poemat stał się również bronią w rękach wielkich poetów Pabla Nerudy („Niech zbudzi się drwal“ i poemat o „Boliwarze“) oraz Nazima Hikmeta (poemat o Zoji Kosmodemjańskiej).

Wydaje się, że linia rozwojowa poematu związanego z nową socjalistyczną epoką, prowadzi od nawiązania do ludowej twórczości i klasycznej spuścizny, poprzez wnioski z Majakowskiego, poprzez indywidualne środki wyrazu — do nowej socjalistycznej treści i nowej, narodowej formy. Wydaje się, że przyszłość należy właśnie do poematów nowego typu.

III.

Rozwój poematów epickich, czy też epicko - lirycznych w okresie powojennym związany był w pierwszym rzędzie z tematyką historyczną, bądź aktualno historyczną. Sylwetki wielkich postaci ruchu rewolucyjnego pozwalały na pewne syntezy polityczne i artystyczne. Więcej było wzorów dla poezji romantyzmu rewolucyjnego i wielu pisarzy chętnie sięgało do tej tematyki, pozwalającej na obracanie się w kręgu zagadnień łatwiej wyrażalnych w tradycyjnej poetyckiej formie. Rodzenie się nowego życia i fundamentów socjalistycznego ustroju — to była zupełnie inna dziedzina twórczości, do której było dojść trudniej, która wymagała nowego i innego spojrzenia na rzeczywistość, często nowej formy — i nakazywała zastąpić patos rewolucyjnej walki, patosem budownictwa.

Poematy historyczne mogły rzecz jasna nawiązywać i do budownictwa, stanowiąc wielką polityczną syntezę zjawisk. Szczytowym osiągnięciem tego typu poematów jest wspaniały utwór Władysława Broniewskiego o Stalinie. Do poematów o historycznej poematyce zaliczymy również utwory o generale Świerczewskim (Woroszylski, Broniewski, Stiller, Lewin), Jarosławie Dąbrowskim (Woroszylski), Konstantym Rokossowskim (Tadeusz Urgacz), oraz poematy o Janosiku (Nędza Kubiniec) i o Ściegiennym (Skoneczny).

Do poematów o tematyce historycznej należy zaliczyć „Lenino“ A. Brauna i „Nad Engelsem“ Stanisława Wygodzkiego. Wszystkie te pozycje cechuje na ogół trzymanie się życiorysów lub wydarzeń historycznych, jako osi tematycznej — widzimy jednak również pierwsze próby poematów o dramatyzujących fabułę i posiadających ambicję politycznych uogólnień— stanowiących niejako pomost między dniem wczorajszym, a dniem dzisiejszym.

W poemacie Woroszylskiego „Noc Komunarda“ czytamy:

„Patrz, generale: znowu łuną
zawisły fronty nad Warszawą.
O krok przez Wisłę — wolny szaniec,
Sztandar i walka, pieśń i prawo.
Harmonia, tocząc się wesoło,
dźwiękiem wydłuża ramię chłopca...
...Pamiętasz — dawne sny powstańcze...
Czy lata płyną? Chmury płyną...
Patrz, generale: znowu łuną
zawisły fronty nad Warszawą.
Chłopiec ma mundur spod Lenino“.

Drugą grupę poematów, znacznie bardziej charakterystycznych dla kierunku rozwojowego współczesnej poezji — stanowią utwory mówiące o socjalistycznym budownictwie: Gruszczyński, („Płomień czerwonych krawatów“), Braun („Noc narodzin“), Kubiak („Rzecz o trasie W—Z“), Wirpsz („Stocznia“), Pijanowski („Pstrowski“), Galis („Opowieść o górniku Janie Chodeli“) i Woroszylski („Świt nad Nową Hutą“).

Utwory Wirpszy i Kubiaka na skutek swych zawikłań i dziwactw formalno - treściowych nie spełniły swojej roli. Poemat Galisa razi prymitywizmem. Interesującą próbą, nie zawsze udaną jest poemat o Pstrowskim, podejmujący po raz pierwszy temat współzawodnictwa pracy.

Najciekawszymi jednak wydają się poematy Brauna „Noc narodzin“ i Woroszylskiego „Świt nad Nową Hutą“. Autorzy sięgnęli do tematów związanych z nową rzeczywistością, tworzącej się na rusztowaniach budowy. Widzimy tu losy fikcyjnych postaci na tle wielkich zjawisk socjalistycznego budownictwa. Losy Zdzicha z poematu „Świt nad Nową Hutą“ stanowią niemal wypadkową indywidualnych losów młodych ochotników budujących sztandarowy obiekt Planu 6-letniego. Założenie poematu jest proste: pokazać jak powstaje potężny obiekt przemysłowy, jak kształtuje się świadomość zwykłego chłopca ze wsi wraz z procesem powstawania nowego miasta, jak przełamuje on swoje obawy i wątpliwości dzięki kolektywowi organizacji. Problem walki o zawód, o fach — stanowiący źródło wielu konfliktów, wśród budowniczych Nowej Huty, został przez Woroszylskiego pokazany z wielką prawdą artystyczną. Forma utworu jest zwarta, o silnym wyrazie rytmicznym, o zmiennej frazie.

Andrzej Braun sięga do również typowego tematu, pokazując przekonywująco proces zmiany stosunku do pracy, tak podstawowy dla kształtowania się nowej socjalistycznej moralności. Bohaterem poematu jest robotnik stoczniowy, udający się na nocną zmianę podczas połogu żony. Jednej nocy rodzi się dziecko i statek. Poemat stanowi ponadto celną i mocną metaforę porównywującą indywidualne losy rodziny robotniczej do losów rodzącej się ludowej ojczyzny.

„Wiedz, przyjdzie takich nocy więcej
i mrok się zacznie mylić.
Gdyby nie przyszłość powstająca
w męce
czym byśmy byli?“.

Elementy fikcji artystycznej przy zachowaniu typizacji postaci i śmiałość w podejściu do tematu, trafność rysunku psychologicznego, wyraźny wątek fabularny, zatarcie granicy między epiką a liryką sprawiają, że poematy te wysunęły się na czoło utworów zbliżających się do realizmu socjalistycznego. Nie zmieniają tego faktu braki artystyczne obu utworów, a szczególnie zagmatwania metaforyki w poemacie Brauna.

IV.

Zbliżamy się do zasadniczego pytania. Którędy droga? Wszelkiego rodzaju kanonizowanie treści i formy do niczego dobrego nie doprowadzi. Błąd ten popełnił w swoim czasie Woroszylski, usiłując naginać poezje do ram Majakowskiego — błąd taki popełnili inni, dość liczni, szermujący ogranym, wyświechtanym, nic nie mówiącym frazesem, o niepowtarzalności Majakowskiego. Takie zdanie wyjaśniło, czy chodzi o niepowtarzalność Majakowskiego w sensie drugiej, podobnej indywidualności poetyckiej, czy też chodzi o niepowtarzalność środków wyrazu artystycznego. Pierwsze było słuszne — drugie nie. Nie można sobie wyobrazić rozwoju współczesnej poezji bez twórczego nawiązania do osiągnięć Majakowskiego.

Jeżeli stwierdzamy, że nie można dawać recepty na treść i formę poematu realizmu socjalistycznego — to nie znaczy, aby nie można było wysuwać pewnych sugestii rysujących się zresztą wyraźnie w poprzednich częściach artykułu. W procesie historycznego rozwoju gatunków literackich z poematu epickiego wyłączyła się, w odrębny niejako organizm — powieść. Słusznie pisał Ziarnik w numerze 38 „Wsi“: „Myślę, że w wielu wypadkach upadek tej wielkiej formacji poetyckiej, jakim jest poemat epicki, wiąże się z rozwojem powieści“.

Nic dziwnego, że w związku z tym charakter poematu epickiego musiał ulec zmianie i nadal jej ulega. Nowe zagadnienia będą stanowić treść poematów. Nowe zagadnienia formować będą specjalny typ poematów. Być może będzie to poemat epicko - liryczny, być może poemat będzie miał nieraz wyraźnie retoryczny charakter (poemat - odezwa) związany z metodami współczesnej pracy propagandowo - politycznej.

Poemat-powieść („Pleban z Chodla“) — moim zdaniem nie ma większych perspektyw rozwoju. Zbyt wydoskonaliła się współczesna proza, by mógł ją zastąpić czysto epicki poemat, najczęściej nużący, utrzymany w charakterze tradycyjnej poetyki, obszerny. Nie wydaje się, aby „Pleban z Chodla“ stanowił „rewelacyjne wydarzenia“ w naszym życiu literackim i był „najpoważniejszą z dotychczasowych próbą w literaturze powojennej odrodzenia poematu epickiego“ — jak twierdzi Ziarnik. Wręcz przeciwnie zarówno „Pleban z Chodla“ (mimo wielkiego wysiłku autora), jak i poemat o „Janosiku“ należy uznać za zjawiska znajdujące się na bocznym torze naszej literatury — na torze, który nie prowadzi dalej, do nowej stacji poetyckich osiągnięć. „Janosik“ posiada wielką zaletę wyróżniającą go z innych tego rodzaju utworów: cechy autentycznej i szczerej ludowości.

Jeżeli chodzi o sprawy formy, to wydaje się, iż nie ma racji Bronisław Gołębiowski, piszący w numerze 41 „Wsi“:

„Prosta forma, sugestywny, interesujący tok treściowy, współczesna społeczno - polityczna problematyka utworu, wierne oddanie romantyzmu budownictwa socjalistycznego, niewyszukane, proste, wierne w stosunku do rzeczywistości sylwetki, **regularna strofika i wersyfikacja utworu** — oto kryteria jakim, według mnie odpowiadać powinien socrealistyczny poemat epicki“.

Gołębiowski zresztą sam sobie zaprzecza pisząc:

„Właśnie na przykładzie twórczości Majakowskiego widzimy najlepiej, czym jest poemat epicki w literaturze socjalistycznej, widzimy jego rolę, oddziaływanie na masowego czytelnika, drogi jego wspaniałego rozwoju. Gdy czytamy poematy „Dobrze“, „Włodzimierz Iljicz Lenin“, „Poemat Październikowy“ wyczuwamy jak bliski jest ten rodzaj poetycki ustrojowi socjalistycznemu“.

Nie ulega wątpliwości, że Majakowski nie zmieściłby się w ramach zaleceń wysuwanych pod adresem poematu soc-realistycznego przez Gołębiowskiego, chociażby z uwagi na to, że nie ma u niego... regularnej strofki.

Wnioski z tego, co powiedzieliśmy dotychczas są proste: poemat nowego typu winien być oparty o zdobycze współczesnej poetyki, ostateczna forma zaś kształtować się będzie w zależności od indywidualności pisarza. Strofika czy nie strofika — to nie jest zasadnicze zagadnienie. Istotne jest to, czy treść jest związana z formą, czy oddziaływują wzajemnie, czy nie „kłócą się“ ze sobą.

Poemat epicki ma wszelkie możliwości rozwoju poprzez nawiązanie do postępowego nurtu narodowej poezji, poprzez nawiązanie do rewolucyjnych osiągnięć poezji radzieckiej — a nie poprzez kontynuację np. poetyki XIX wieku. Nawiązywanie do tradycji nie ma nic wspólnego z mechaniczną kontynuacją. Trzeba widzieć jakościową różnicę między nurtem formującego się realizmu krytycznego, — a rodzącym się realizmem socjalistycznym.

Nowy poemat musi nieść dynamikę powstającego życia.

Grzegorz Lasota.

JÓZEF ANIOŁ

POEZJA EPICKA WYRAZEM WALKI I PRACY

(Głos działacza młodzieżowego)

TRUDNO mi jest myśleć o dzisiejszej poezji, o jej roli i znaczeniu w naszym życiu bez wykorzystania niektórych spostrzeżeń, wyniesionych z pracy młodzieżowej.

Oto np. jesteśmy na zebraniu koła Z.M.P. w pewnej instytucji. Toczy się dyskusja nad zagadnieniem czytelnictwa. Była mowa o prasie zetempowskiej, o powieściach Kruczkowskiego, Wasilewskiej, Ostrowskiego, Fadiejewa. Napomknięto o poezji. Wówczas jedna z koleżanek o sentymentalnym wyrazie twarzy, pogrążona przez cały czas w jakiejś błogiej zadumie, raptem ożywia się. Wkrótce się okazuje, że czuje słabość do poezji. Ale jakiej?

— Ach wiersze unoszą mnie w taki cudny świat, pierzcha nuda... zapominam o szkaradnym życiu, troskach, zmartwieniach — zwierzała nam się owa koleżanka.

Nietrudno się domyśleć, jaka to „poezja“ uwiodła naszą koleżankę. Oczywiście ta mówiąca o różach, łąkach kwitnących, bajecznych przygodach, kwilących ptaszkach itp.

Drugi przykład. Wieczornica Koła ZMP w spółdzielni produkcyjnej. Koleżanki i koledzy występują z recytacjami. Siłę słów „Marszu urodzaju“ Majakowskiego, „Komuny Paryskiej“ — Broniewskiego wspaniale wyrażają nie tylko recytujący, ale także sami słuchacze. Błyski w oczach zebranych, ich skupione twarze, ruchy, wskazują, że owładnęła nimi bojowość i wola czynu. Po wieczornicy — w rozmowach i przy pracy — rodziły się i dawały konkretne wyniki postanowienia młodych chłopów. Na wrogów klasowych padały ze strony zetempowców coraz mocniejsze ciosy, młodzi członkowie spółdzielni dawali przykład rzetelnego stosunku do pracy.

Dwa powyższe fakty mają głęboką wymowę. Gdy z jednej strony schyłkowa poezja mieszczańska służy do zabijania nudy, do stworzenia świata urojeń i przeżyć wyłącznie estetycznych, to z drugiej strony poezja rewolucyjna, oparta o socjalistyczny realizm — jest orężem w tworzeniu lepszego jutra.

Jest rzeczą wiadomą, że młodych ludzi pociągają wiersze, a jeszcze bardziej poematy epickie, których wątek fabularny i żywy tok akcji daje zwykle więcej przeżyć i wzruszeń. Zaczytują się nimi i — choć z rzadkim powodzeniem — próbują sami pisać. Znam takich, jak np. wspomniana wyżej koleżanka, których różnej maści romansidła oraz poezja drobnomieszczańskich twórców dwudziestolecia pozbawiły aktywnej postawy wobec życia, utrudniły dojrzewanie ideologiczne, nie pozwoliły wyrobić sobie właściwego sądu o rzeczywistości. Ale znam także bardzo wielu swoich rówieśników zetempowców, których poezja Broniewskiego, Majakowskiego, czy też młodych naszych poetów jak Gruszczyńskiego, Kubiaka, Woroszylskiego — zbudziła z sentymentalnej drzemki, uleczyła z pesymizmu, napoiła entuzjazmem i dała siły do pracy. Ta rzeczywista poezja towarzyszy nam wszędzie. Uczy i wychowuje. Wskazuje wrogów i przyjaciół. Pomaga łamać przeszkody i trudności, słowem wytycza żmudną lecz radosną drogę do ostatecznego celu jakim jest zwycięstwo wolnego świata nad światem wyzysku i niewoli.

W tym właśnie my zetempowcy widzimy rolę i znaczenie tej naszej poezji, dla której drogę rozwojową nakreślił ostatni zjazd literatów po przeprowadzeniu dyskusji i wyciągnięciu wniosków z dotychczasowego stanu rzeczy.

Pogłębianie dyskusji trwa nadal na łamach pism literackich. Jeśli chodzi o poezję epicką, to bardzo dobrze się stało, że z inicjatywą wystąpiła „Wieś“. Wszędzie daje się zauważyć, a szczególnie na wsi, że młodzież — i nie tylko młodzież — pragnie widzieć więcej poematów, opiewających jej życie. „Płomieć czerwonych krawatów“ Gruszczyńskiego, „Świt nad Nową Hutą“ Woroszylskiego i kilka innych mniej lub więcej udanych — nie zaspakajają młodych czytelników. Trzeba więcej mówić o poezji epickiej, aby w oparciu o wysnute wnioski młodzi poeci pokusili się o szerokie właściwe ujęcie w dłuższych poematach życia i dorobku młodego pokolenia. Pojedyncze wiersze, czytane od przypadku do przypadku, choćby nawet były dobrane treściowo w pewną całość, nigdy nie przemówią do czytelnika tak, jak poemat. Akcja poematu, bogactwo poruszonych w nim zagadnień ze sobą powiązanych, ułatwia czytelnikowi kojarzenie faktów i zjawisk a tym samym zrozumienie całego problemu. Przekonałem się o tym sam na sobie. Przed zjednoczeniem organizacji młodzieżowych należałem do „Wici“, nie była mi też obca droga i działalność Związku Walki Młodych. Ale dopiero po przeczytaniu w 1948 roku poematu Gruszczyńskiego „Płomień czerwonych krawatów“, stanęła przede mną w całej wyrazistości i porywającej sile chlubna historia tej rewolucyjnej organizacji młodzieżowej. Nie tylko historia, ale również rola jaką w dalszych etapach budowania socjalizmu w Polsce będą pełnić b. członkowie Z.W.M-u, „dziewczęta, chłopcy szesnastoletni“, zahartowani w szeregu bojowych akcji. Żaden wiersz, żadna piosenka o Z.W.M.-ie tego wrażenia na mnie nie zrobiła. Dlaczego? — dlatego, że fragment zagadnienia lub powierzchownie i ogólnikowo ujęta całość nie jest w stanie przemówić wszechstronnie, do głębi i przekonywująco. Nie znaczy to jednak, że poemat kol. Gruszczyńskiego, by zatrzymać się na tym, bliskim mi tematycznie przykładzie, jest już doskonałym wzorem dla innych poetów.

Poemat swój kol. Gruszczyński przeznaczał niewątpliwie dla szerokich rzesz młodzieży. Jeśli tak, to należało nie ograniczyć się do pokazania kilku zaledwie odcinków życia powojennego, na których przejawiali swą aktywność Z.W.M-owcy. To „przejechanie się po łebkach“ uszczupliło, zwęziło drogę, po której szedł Z.W.M., pociągając za sobą szeregi niezorganizowanej młodzieży. Nie można tych zagadnień i procesów traktować aluzyjnie, jak to nieraz ma miejsce w poemacie. Dalej niesłuszne, moim zdaniem, jest zbytnie skomplikowanie metaforyki, zwłaszcza przy tym adresie czytelniczym.

Mimo bardzo poważnych usterek formalnych i koncepcyjnych poematu, wywarł on na mnie i na wielu koleżankach i kolegach ogromne wrażenie. Tę niedużą książeczkę można spotkać w świetlicach wiejskich i robotniczych, w rękach młodzieży szkolnej i studentów. I to jest właśne dowodem, jak wielkie „zamówienie“ na poemat epicki o naszym trudnym lecz pięknym czasie istnieje wśród budowniczych lepszego jutra. Przed oczami stają obrazy powojennego budownictwa, zagospodarowujących się Ziem Odzyskanych, walki z bandami leśnymi w okresie reformy rolnej i referendum. Ale przede wszystkim jest w poemacie obraz rewolucyjnej młodzieży, której entuzjazm, ofiarność i nieugięta wola walki z wrogiem oraz wszelkimi trudnościami — udziela się czytelnikowi. Wykazany w poemacie patos walki o lepsze jutro i zdobycze władzy ludowej napawają czytelnika głębokim optymizmem i wiarą, iż trud i ofiarność młodego pokolenia nie idą na marne. Poezja daje nam piękną wiedzę o naszym czasie, wzbogaconą wzruszeniem tworzącego ją człowieka, bliską, żywą i mobilizującą nas do walki.

Myślicie, że łatwo marzyć,
gdy zupa w stołówce licha?
Proszę
spytajcie robotnika.
Oto przyrzekam, towarzysze:
o ptaszku,
gałązce,
gwieździe
dopóty nie napiszę
dopóki wiersz mój z wami nie wstąpi
na socjalizmu choćby przedmieście.

Takie słowa poety, towarzysza walki i pracy milionów, sprawić mogą, iż tysiące młodych dziewcząt i chłopców łatwiej uświadomi sobie piękno i szlachetność walki o socjalizm, uświadomi sobie swój obowiązek.

Życzeniem młodych bojowników o socjalizm jest, ażeby z ognia dyskusji nad poezją epicką zrodziły się nowe dzieła przedstawiające w artystycznych, porywających obrazach ich codzienną pracę i walkę o radosną przyszłość. Wówczas taka poezja będzie dla nas orężem, pomocnikiem i doradcą w budowaniu tej przyszłości. **Józef Anioł.**

NA GŁOS SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH

Kiedy nadszedł plon ogłoszonego przez „Wieś“ konkursu na reportaż o wsi — a był to koniec grudnia 1949 r. — bardzo pokaźną część prac stanowiły reportaże o spółdzielniach produkcyjnych. Autorami byli pisarze i wizytujący je korespondenci. Zaledwie parę głosów samych członków spółdzielni. A przecież autorami dwu książek o wrażeniach z kołchozów radzieckich są nasi chłopi. Część z nich pracuje już pewnie w spółdzialniach produkcyjnych. Wydaje nam się, że w sytuacji 2000 spółdzielni czas już na masowe wypowiedzi samych spółdzielców. Wartoby rozpisać do nich ankietę: „nasz pierwszy rok“ — „nasze pierwsze miesiące“. Kiedy się na wsiach dyskutuje gorąco sprawę socjalistycznej produkcji rolnej powinny w tok agitacji wejść razem z rozważaniami nad przeszłością chłopską, nad kapitalistyczną pułapką drobnotowarowej, prywatnej parceli, razem z rozważaniami nad wyższością produkcji społecznej i większą wydajnością planowej, stechnizowanej produkcji na dużej przestrzeni, razem z doświadczeniami z wycieczek do spółdzielni (co nie zawsze i nie często może mieć miejsce), razem z analizą statutów trzech typów spółdzielni — również i przede wszystkim *żywe, zapisane słowo, pionierów - spółdzielców*, walczących o nową strukturę społeczno - gospodarczą i budujących ją.

Będą w tych pamiętnikach roku, czy miesięcy — setki najrozmaitszych sytuacji, przypadków, setki konkretnych trudności, wątpliwości i błędów i tysiące sposobów rozwiązań, osiągnięć i niezbitych sukcesów. Często w dyskusjach dostrzega się, że osobliwość oporu u chłopów polega nie na generaliach a na jakimś szczególnym przypadku, który dla oponującego ma specjalną wymowę. Wśród masowych wypowiedzi spółdzielców znalazłyby się na każdy przypadek, na każdą konkretną wątpliwość — konkretne, rozładowujące uraz i przesąd odpowiedzi.

Stawiając ten projekt równocześnie wzywamy członków spółdzielni produkcyjnych do nadsyłania do „Wsi“ listów z ich pracy i tworzenia spółdzielni. Prosimy również korespondentów, aby pisali o okolicznych spółdzielniach. Ostatni kwartał wymaga bilansu z tego wielkiego osiągnięcia i wielkiego faktu historycznego — powstania pierwszych blisko dwu tysięcy spółdzielni.

P. Ch.

MIECZYSŁAW INGLOT

DROGA DO WOLNOŚCI

AMERYKA Południowa stała się w ciągu drugiej połowy XIX wieku terenem kolonialnej ekspansji Stanów Zjednoczonych. Już ustanowiona z początkiem tego wieku doktryna Monroe'go zapewniła im wolne ręce na kontynencie amerykańskim. Po upadku zmurszałych wice-królestw, państwa A. Południowej wyzwoliły się politycznie spod wpływów Hiszpanii i Portugalii, mocarstw, które w tym czasie kończą zasadniczo swą „mocarstwową" karierę. Liczne zamieszki spowodowane intrygami bogatych plantatorów i ich walką o władzę, pozwoliły obcym mocarstwom a w szczególności St. Zjednoczonym wniknąć w sprawy wewnętrzne owych marionetkowych rządów i rozstrzygać spory na swoją korzyść.

Czego szukali amerykańscy kapitaliści w Ameryce Południowej? Odpowiedź na to pytanie jest łatwa: surowców i rynków zbytu.

Ameryka Południowa, to zasadniczo kraj rolniczy. Kraj kakao, trzciny cukrowej, manioku, później kawy. Kraj niezmierzonych puszcz, o bogatym drzewostanie, obfitych w naturalne bogactwa w postaci drzewa, owoców, czy też niezmiernie cenionej w tym kraju rośliny, namiastki naszej herbaty — yerba mate. Eksploatacja bogactw rolniczych odbywała się przy pomocy siły niewolniczej, przeważnie murzyńskiej (sprowadzanej przez handlarzy niewolników z wybrzeży Afryki). Formalne zniesienie niewolnictwa, które w A. Południowej przypada na koniec XIX w., powoduje przejściowe zachwianie się plantatorów, a to z kolei ingerencję kapitału amerykańskiego, który wykupuje cały szereg plantacji. Ingerencja ta sięgała tak daleko, że na przykład na Kubie (gdzie panowały podobne stosunki) niszczono inne rośliny jadalne, zamieniając wyspę na kraj trzciny cukrowej. Kapitaliści amerykańscy dążyli do zahamowania przemysłowego rozwoju A. Południowej. Rzuca się hasła rolniczego opanowania terenu. Przed oczyma emigrantów z Polski, Niemiec, z całej niemal Europy, a nawet Azji, roztacza się miraż bogactwa. Powoduje to przybycie całego szeregu nowych ludzi, którzy przeważnie zajmują miejsce dawnych niewolników lub też pomagają razem z nimi rozszerzać plantacje amerykańskich i brazylijskich właścicieli. Tylko gdzie niegdzie rozwija się przemysł, nie konkurujący zresztą z rodzimym przemysłem USA. Oprócz St. Zjednoczonych, szczególnie po I-ej wojnie światowej, występują na terenie A. Południowej kapitaliści niemieccy.

Cała ta droga dziejów A. Południowej, odbija się na stanie socjalnym narodów zamieszkującym tę ziemię. Nędza mas, właściwa przede wszystkim krajom półkolonialnym, spotęgowana zostaje ustawicznym głodem pracy. Czynnikiem panującym jest pieniądz. Za pieniądze kupują Amerykanie rządy, za pieniądze kupują od rządu „sprawiedliwość" rodzimi kapitaliści. Nędza rozbija rodziny, rzuca dzieci na los szczęścia. W nielicznych zakładach przemysłowych wyrasta jednak klasa robotnicza. Klasa robotnicza jest jedynym czynnikiem, który prowadzi zorganizowaną walkę o wyzwolenie społeczne. W ogniu prześladowań, przezwyciężając rozłamowe teorie rasistowskie, przy nieustannym ataku faszystowskich bojówek i profaszystowskiej policji, krzepnie i wzmacnia się partia klasy robotniczej.

Jorge Amado, znany bojownik o pokój i sprawiedliwość społeczną, zrozumiał istotę zagadnień nurtujących społeczeństwo jego Ojczyzny. Napisana w roku 1935 jego powieść *) jest wiernym dokumentem stosunków panujących w Brazylii i w okresie międzywojennym.

Powieść Amado może nosić z powodzeniem tytuł „Antoni Balduino", chociaż bohaterem książki jest nie A. Balduino lub Jubiaba, lecz Jubiaba i Antoni Balduino.

Kto to jest Jubiaba? Imię jego jest i pozostanie symbolem. Choć leży ono na karcie tytułowej książki. Jubiaba jest znachorem, sędzią, kapłanem, nauczycielem. Ale z tym wszystkim jest Jubiaba tradycją, tradycją narodu murzyńskiego, pomnikiem jego wolności i niewolnictwa, jego radości i jego cierpień. On jeden zna i pamięta najlepiej, on jeden wskrzesza starym murzyńskim językiem to, co minęło. Przypomina o wolności i o zemście.

Kto to jest Antoni Balduino? I tu dopiero zaczyna się opowieść. Opowieść o biednym murzyńskim dziecku ze Wzgórza Kaźni Murzynów, wyrastającym jak młode zwierzątko, wśród ludzkich cierpień, pod urokiem niedalekiego miasta Bahia. Miasto, na które patrzy nocą, jest dla niego wielką nieznaną tajemnicą. Marzy o tym, aby ją poznać. Ale to marzenie nie jest jedynym. W wolnych chwilach zbierają się murzyni dookoła chat i gwarzą. O życiu, co przeszło, o niewolniczym losie murzyna, o bohaterach ludowych. O nich to, o Zumbi dos Palmares, o Vileli, o wielu, wielu innych mówią malutkie ABC, ksiorki przygód obrońców ludu murzyńskiego. Na zebrania te przychodzi często stary Jubiaba. Uczestniczy on także i przewodniczy w uroczystościach religijnych „macumba". Zapatrzony w przeszłość wskrzesza w swych opowiadaniach murzynów zakatowanych na plantacjach, okrutnych panów, bunt prześladowanych. Na zebraniach popisuje się opowiadaniem swych przygód włóczęga Ze Carmano. W tej atmosferze urabia sobie młody Antonio typ swego dziecięcego bohatera. Jest nim wolny człowiek, dla którego świat jest otwarty, obrońca biednych, który nienawidzi pracy, zuch, zabijaka i wieczny buntownik.

Dwie pierwsze partie książki Amado to właśnie droga ku wymarzonej postaci. Antonio uważa ją za swoją drogę ku szczęściu. Po śmierci ciotki, która się nim opiekowała, zostaje Antonio wychowankiem bogatego mieszczanina, który chce zeń uczynić oddanego sobie człowieka. Ale Antonio, nieznoszące więzów dziecko Murzyńskiego Wzgórza, nękany jest pragnieniem ucieczki. Bezpośrednią przyczyną do wykonania tego zamiaru jest chłosta, którą wymierza mu pan domu za rzekome podglądanie jego kąpiącej się córki, Lindinalwy. Antonio ucieka, a jedynym wspomnieniem, jakie wynosi z domu bogacza, jest obraz jego jedynaczki, którą pokochał dziecięcym sercem. Wspomnienie jej i pragnienie jej zdobycia towarzyszyć mu będzie do końca życia. Jako kierownik żebraczej bandy, przebiega Antonio ulice i poznaje wszystkie tajemnice miasta. Ale to wszystko nie wystarcza chłopcu. Nie jest zadowolony z życia. „Odczuwa jednak brak czegoś, co będzie musiał zdobyć choćby za cenę przebycia wszystkich oceanów, wszystkich mórz..."



Wiec komunistyczny w Sao Paulo w Brazylii foto — API

Z młodego żebraka, przywódcy bandy, staje się Antonio sławnym bokserem i... artystą. Walczy na ringu i układa samby, które później odkupione poznaje świat jako utwory znanego burżuazyjnego poety. Kocha się, jest bożyszczem kobiet. Ma pieniądze. Ale jego serce dręczy tęsknota za szczęściem, którego nie posiada. Do tęsknoty dołącza się głucha nienawiść nędzy. Powstaje w nim pytanie: co jest istotną przyczyną ludzkich nieszczęść?

Wypadki zmuszają go do opuszczenia Bahii.

„Przygody murzyna - tułacza", druga część powieści Amado, jest zarazem nowym okresem życiowej wędrówki Antoniego Balduino. Autor rozwijając postać bohatera, wzbogaca go o nowe wypadki. Ale zasadniczy trzon pozostaje ten sam. Antonio Balduino, dla świata bokser i zabijaka, wewnątrz jest człowiekiem, który szuka drogi ku szczęściu i wolności, swojej „drogi do domu".

Stając w obronie dziewczyny, Antonio zabija dozorcę i ucieka z plantacji tytoniu. W drodze do Bahii spotyka zrujnowanego przez ciężkie warunki życia żebraka. Człowiek ten mówi: „Biedny musi cierpieć. Jedni rodzą się dla rozkoszy: to bogaci. Drudzy, aby cierpieć: to biedni. Tak jest od początku świata".

Tak mówi żebrak. Ale Antonio mu nie wierzy.

„ABC o Antonio Baduino" to trzecia i ostatnia część powieści Amado.

W czasie swego pobytu w Bahii spotyka Lindinalwę. Lindinalwa jest prostytutką. W krótkim szkicu kreśli autor jej upadek. Umiera ojciec, porzuca ją narzeczony — potem domy publiczne, coraz gorsze warunki. Umiera Lindinalwa, jeszcze jedna ofiara kapitalistycznego systemu. Jeszcze jedno wspomnienie młodości Antonio. Bohater powieści niesłychanie głęboko przeżywa nieszczęście. Lindinalwa powierza mu opiekę nad swym synkiem. Antonio musi zarabiać na życie. Zaczyna pracować jako robotnik. „Antonio Balduino zawsze odczuwał pogardę dla pracy. Kiedyś wolał nawet pójść drogą wskazywaną przez morze, niż pracować. Pewnej nocy na wybrzeżu popełniłby samobójstwo, gdyby nie prośba Lindinalwy o opiekę nad jej synem. Obecnie czarny spogląda na robotników z szacunkiem. Robotnicy mogą wyrwać się z niewoli".

W życiu Antoniego Balduino zachodzi zasadniczy przełom. Staje się on uczestnikiem nowej walki — strajku. Antonio zaczyna pojmować jak bardzo walka, którą toczą robotnicy jest odmienna od tych wielu bezcelowych walk, które toczył w życiu. Że walka robotników to walka powszechna, skierowana przeciw właściwemu wrogowi, że jest to jedyna walka, która może wyzwolić jego i jego braci z niewolnictwa. Teraz rozumie sens walki klasowej.

I w tym wyprzedza świadomość Jubiaby. Stary, zasklepiony w tradycji, wierzący w przeznaczenie murzyn, mógł zrozumieć walkę jednostek, obca jest mu niemal walka mas. Pojmuje jednak, że przyszli inni, więksi, potężniejsi. Że są ludzie, do których należy przyszłość. „Antonio Balduino wchodzi do domku czarniwka. Teraz spogląda na Jubiabę jak równy na równego. Oznajmia mu, że odkrył to, o czym wspominają pieśni ABC, że znalazł w życiu drogę właściwą. Wyschło oko litości bogaczy. Ale oni — biedacy, mogą w każdej chwili, gdy tylko zechcą zniszczyć oko złości bogatych. I Jubiaba, wielki czarnoksiężnik murzyński, skłania się przed Balduinem, jak gdyby widział w nim Oksolufa, starego Oxala, największego ze świętych".

Antonio ginie w walce. Zostaje po nim to, o czym marzył: sława. W malutkim ABC, na końcu zwrotki brzmią słowa: walczył przeciw panom okrutnym.

Amado postawił sobie za zadanie przedstawienie świata kapitalistycznego. I niewątpliwie dopiął swego. Brazylia kapitalistyczna, jej ludzie i jej życie wychodzą tu wyraźnie, z drobnymi nawet szczegółami. Każda postać, to jeszcze jeden przyczynek do charakterystyki ustroju kapitalistycznego.

I tu dochodzimy do jądra zagadnienia. Jest nim poruszone powyżej, przejście buntującej się jednostki w walczące masy. Jest nim wyrażone usilnie przekonanie, że czas, w którym takie jednostkowe zrywy i bunty były konieczne, minął, że droga wyzwolenia biegnie inaczej. Jednostka poświęca tutaj swą „wolność". Czy jednak Antonio Balduino był wolnym, gdy włóczył się po miastach i wsiach Brazylii? Nie. W cyrku był niewolnikiem — publiczności, jako bokser — trenera, na plantacjach — dozorcy.

W czasie jego długiej wędrówki widzimy Antonia w różnych sytuacjach. Niejednokrotnie mamy prawo zapytać, czy Antonio nie upadnie, czy nie zboczy ze swej drogi? Nie. O ile nawet niektóre postępki Antonia są złe, to wypływają one z jego nędzy. I tu widzimy całą przenikliwość Amado, który odsłania całą podszewkę zagadnienia podziału na złe i dobre. Jeżeli ludzie są źli, to są dlatego źli, że zmusza ich do tego kapitalizm, czyniąc z nich nędzarzy.

Na swej drodze napotyka Antonio twierdzenie o przeznaczeniu. Twierdzenie to nie odpowiada jego naturze. I dlatego też nie chce z pokorą znosić swego losu. I dlateko stoi u progu samobójstwa. Co go wyzwala z tego stanu? Proletariat. W dziecku prostytutki Lindinalwy znajduje swą rodzinę, w jej śmierci spowodowanej przez kapitalizm, nienawiść ku wyzyskiwaczom. Konieczność zarobkowania na dziecko sprawia, że Antonio staje się robotnikiem.

I wtedy wstępuje na właściwą drogę ku prawdziwej wolności. Drogę polegającą na podporządkowaniu swych nieokiełzanych wybryków ogólnej woli. Drogę, która pozwala zrozumieć konieczność zwycięstwa klasy robotniczej w walce z ciemiężcami.

Mieczysław Inglot

*) Jorge Amado, Jubiaba, „Czytelnik", Biblioteka w Prenumeracie, przekład Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy.

JERZY BEREDA

NIE O ŚWICIE ALE O ZMIERZCHU

ABSURDALNE jest dzisiaj wymaganie aby Francja była zdolna do wyprodukowania filmu odpowiadającego wymaganiom realizmu socjalistycznego. Filmu „ukazującego w artystycznej formie wizualnej treści wydarzeń, splotów losów ludzkich, heroizmu i romantyzmu, liryki i patosu walki rewolucyjnej, surowej prostoty charakterów, humoru i tragizmu, naszej miłości do rzeczy nowych i pięknych oraz głębi naszej nienawiści do reakcyjnych sił starego świata. (S. Wasiliew — „Iskusstwo Kino" 6 (49).

Celem lepszego zrozumienia katastrofalnej sytuacji w jakiej znajduje się obecnie kinematografia francuska cofnijmy się do chwili zawarcia układu Blum—Byrnes, który zapewnił Amerykanom opanowanie całej niemal kinematografii francuskiej. Realizatorzy i producenci znajdują się w coraz gorszej sytuacji: ilość produkowanych filmów zmniejsza się z każdym dniem, a hollywoodczycy wykupują i zamykają francuskie ateliers.

Ta beznadziejna niemal sytuacja wywołuje potężny ruch protestacyjny pracowników filmowych, którzy dzięki pomocy tysięcy widzów stworzyli Komitet Obrony Kina Francuskiego i zmusili rząd do udzielenia kredytów krajowej produkcji oraz rewizji układu Blum—Byrnes. Nie daje to jednak żadnych gwarancji co do przyszłości filmu francuskiego.

Wiemy tylko jak jest dzisiaj. Kierunkiem filozoficznym najbardziej propagowanym jest egzystencjalizm. Egzystencjalizm to filozofia ludzi, którzy uznali walkę z ingerencją amerykańską za beznadziejną. Jest to bardzo wygodny sposób odwrócenia uwagi publicznej od zagadnień planu Marshalla.

A oto owoce produkcji. (Cytuję opinie obserwatorów ostatnich festiwali filmowych).

Niektórzy z francuskich krytyków zaliczają „Piękność diabelską" Rene Claira do kategorii filmów starających się w miarę możności przemycić treść postępową. „Nie zgadzamy się z tym sądem, wydaje nam się bowiem, że pewne akcenty postępowe zawarte w scenariuszu (bunt naukowca, który nie chce służyć siłom zniszczenia) są zmajoryzowane przez sceny i epizody o tendencji wyraźnie eskapistycznej. Morał jaki wyciągnęli autorzy ze starej legendy o doktorze Fauście jest następujący — w życiu najważniejsza jest miłość, zawsze ona zwycięża i rozwiązuje wszystkie najtrudniejsze nawet problemy. Faust, który miał potęgę i złoto, rzuca marność doczesnego świata i rusza z cyganką na wędrówkę w nieznane. Należy zadać pytanie, czy jest rzeczą słuszną i uczciwą w epoce wielkiej rozgrywki sił postępu i ciemnoty tworzyć filmy, których morał nie różni się niczym od eskapistycznych przebojów z Hollywood?" (Jerzy Toeplitz — „Nowa Kultura" 20).

Na festiwalu filmowym w Wenecji w br. nagrodę krytyków otrzymał „Orfeusz". „Opierając się na greckim micie o Orfeuszu, realizator Cocteau ukazuje pod tym imieniem bohatera spomiędzy t. zw. „złotej młodzieży". Orfeusz spotyka „czarną kobietę" na rozkaz której przechodzi przez lustro do królestwa umarłych, gdzie odbywa długą podróż. Demonizm i mistyka, krew i zabójstwa, hipnoza i zjawy pozagrobowe — oto co stanowi treść filmu. Nic więc dziwnego, że Cocteau stał się bożyszczem owej zdeprawowanej do szpiku kości młodzieży, którą uczynił „bohaterem" swego filmu„. (Olga Czetkina — „Wolność" 211 (50).

Wspomnijmy zeszłoroczne „klasyczne osiągnięcia" tego typu co „Manon" Clouzota, czy „Straszni rodzice" Cocteau.

Mówiąc więc dziś o filmie francuskim musimy pamiętać, że czasy „Bitwy o szyny" René Clementa reportażowo-fabularnego filmu o Ruchu Oporu, czasy „Farrebique" Rouquiera (jedynej chyba próby przekroju środowiska chłopskiego prowincji francuskiej), czy czasy „O świcie" Daquina (1949) należą do przeszłości. Dzisiaj Daquin jest szykanowany przez policję francuską, szczuty przez reakcyjną prasę, duszony przez cenzurę za walkę o pokój i postęp. Za to, że realizuje w swej twórczości hasło: film jest sztuką, nie przemysłem.

Film jego „O świcie" jest opowieścią o życiu górników francuskich. W miasteczku francuskim znajduje się kopalnia. Założono ją tutaj przed wieloma laty. Wokół niej powstało miasto, w którym życie tysięcy ludzi uzależnione jest od garstki właścicieli. Groszowe stawki zmuszają do pracy niemal wszystkich. Idzie do pracy mały Jerzy, który ma 16 lat. Wiele zgryzot przeżywają młodzi narzeczeni Jerzy Gohelle i Luiza ich konflikt obraca się wokół zagadnienia czy Luiza będzie pracowała w kopalni po zawarciu małżeństwa? Kto będzie wychowywał dzieci w czasie ich pracy? Rozumie tę tragedię Marek, Polak. Emigrował on przed laty z rodzinnego kraju w poszukiwaniu pracy, ale wie, że dzisiaj zmieniło się tam, wie jakie są warunki pracy, jak wygląda życie górnicze w Odrodzonej Polsce i za wszelką cenę chce powrócić do kraju. Warunki pracy w kopalni poznaje młody inżynier Larzac. O ile inaczej wyobrażał ją sobie kiedy był na studiach inżynierskich. Ulepszenia techniczne potrzebne są wówczas gdy jest możliwość większych zysków — oto credo właścicieli, oto czego pilnuje dyrektor Dubar. A bezpieczeństwo pracy, higiena, stworzenie realnych możliwości życiowych — to nie obchodzi kapitalistów. Walkę o te podstawowe prawa robotnika toczy związek zawodowy. Toczył ją dziad małego Jerzego i Luizy, i ojciec, który zginął w katowniach gestapo za udział w strajku w czasie okupacji hitlerowskiej. Oto pokrótce treść filmu. Sięgnięcie po nurtujące zagadnienia społeczne, próba ujęcia aktualnych, interesujących problemów życia. Sam temat daje możliwości stworzenia dzieła realistycznego. Pozostaje zapytać o ile zostały one wykorzystane?

Historia walki toczonej przez związek zawodowy ukazana jest w retrospektywnym skrócie. Od czasów założenia osiedla do wyzwolenia Francji spod okupacji hitlerowskiej. Dalej milczenie, chociaż wiemy, że klasa robotnicza walczy dzisiaj pod przewodnictwem KPF. Tu czujemy łapę cenzury. Cenzura nie pozwoliła pokazać, zdemaskować sprawców położenia ekonomicznego górników: kapitalistów i ich dolarowych mocodawców.

Takich zarzutów można by postawić filmowi więcej. Ciąży na nim widmo cenzury, która tłumi wszelkie możliwe akcenty rewolucyjne. Niezależnie jednak od tego, że rozumiemy doskonale dlaczego film Daquina nie jest filmem w pełni realistycznym, musimy obiektywnie stwierdzić, że nim nie jest, zabrakło mu pełnego, wyczerpującego obrazu walki proletariatu o swe prawa.

Niemniej jednak postępowość filmu nie ulega dyskusji. Wielką zasługą jego twórców jest ukazanie pełnego człowieka. Człowieka ciężko pracującego, przeżywającego troski i radości, miłość prostą i piękną. Atmosfera troski o człowieka pełna głębokiego humanizmu zbliża film do dobrze znanych wzorów radzieckich.

Pozostaje sobie życzyć, aby filmy o prawdziwych ludziach, szerzące optymizm i wiarę w człowieka, stanęły u podstaw przyszłej, realistycznej kinematografii francuskiej.

Jerzy Bereda

STANISŁAW KRAKOWIAK

W RADZIECKIM DOMU KULTURY

Podczas wycieczki chłopów polskich do Związku Radzieckiego interesowało mnie mocno życie robotników i kołchoźników. Świetlica stała się w Związku Radzieckim nieodłączoną częścią życia kołchozu, sowchozu, MTS, fabryki czy szkoły. Nie szczędzi tam się wydatków na wyposażenie świetlicy, na dekoracje i na rozbudowę. Rozbudzone potrzeby kulturalno-oświatowe nie zadawalają się zwykłymi świetlicami. Wśród dzielnic fabrycznych i w wielu kołchozach spotykaliśmy budowane lub budujące się imponujące domy kultury. Odpowiednio przeszkolony personel świetlic czy domów kutlury prowadzi robotę kulturalno-oświatową na wysokim poziomie i dzięki temu świetlica niby magnes ściąga do siebie wszystkich, którzy chcą pożytecznie odpocząć po pracy.

W mieście Groźny zwiedziliśmy dwa domy kultury robotników przemysłu natfowego.

Dom kultury im. Kirowa jak poinformował nas tow. Bulbian, dyrektor tego zakładu został wybudowany w 1929 r. Jest to potężny budynek składający się z kilkunastu większych i mniejszych sal artystycznie ozdobionych przez miejscowych malarzy i rzeźbiarzy. Znajduje się tu sala kinowa, teatralna, sala odczytowa, zabawowa, biblioteczna i inne. Każda z nich może pomieścić po kilkaset robotników.

Biblioteka liczy ponad 10 tys. książek. Korzysta z niej około 700 robotników. Są również książki polskich autorów jak Mickiewicza, Sienkiewicza, Wasilewskiej w przekładzie na język rosyjski. Kierownictwo biblioteki nie ogranicza się tylko do wypożyczania książek. W czytelni bibliotecznej, odbywają się często odczyty literackie, spotkania autorów z czytelnikami itp.

Sala odczytowa gromadzi robotników, przodowników pracy na narady wytwórcze, na wykłady o produkcji, o sytuacji międzynarodowej. Prelegentami są profesorowie wyższych uczelni, nauczyciele, inżynierowie.

Sala teatralna może pomieścić 620 widzów. Na scenie występują zespoły amatorskie lub objazdowe trupy teatralne. Niedawno miał tu występ chór z Zakarpackiej Ukrainy oraz chór tańca i pieśni kubańskich kozaków.

Liczny zespół amatorski podzielony jest na kółka dramatyczne. Każde ma swojego kierownika-reżysera. Rocznie wystawiają te zespoły 20 — 30 sztuk. Występują one także w fabrykach i innych miejscowościach. Bardzo często występują na scenie domu kultury dziecięce zespoły artystyczne.

W jednej z zacisznych sal spotkaliśmy dziewięcioletnią dziewczynkę, uczącą się pod kierownictwem profesorki z konserwatorium gry na fortepianie. Ira Woroncowa — tak się nazywa ta dziewczynka — jest pół sierotą. Ojciec zginął na froncie. Matka jest nauczycielką. Mała uczy się bezpłatnie i czyni bardzo dobre postępy. Oprócz Woroncowej uczy się tu muzyki więcej dzieci, gdyż przy domu kultury jest filia konserwatorium Groźnieńskiego.

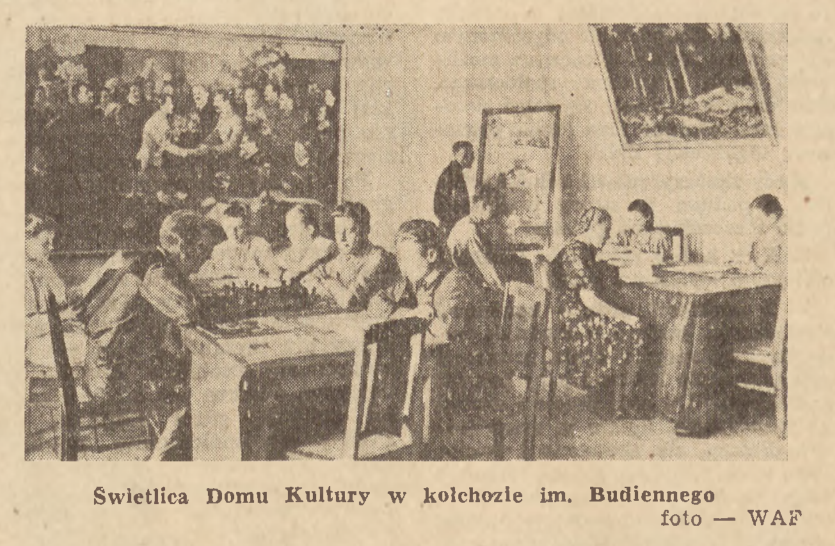
Oglądaliśmy ciekawą i miłą salę dziecięcą, gdzie najmłodsi obywatele radzieccy mogą się przyjemnie bawić, oglądać piękne rysunki, kolorowe filmy rozrywkowe, odrabiać z pomocą nauczyciela swoje lekcje.

Również i starsi mają salę do gry w szachy, bilard, warcaby itp.

Pałac kultury im. Lenina w stalinowskiej dzielnicy Groźnego zbudowany został w 1932 r., korzystają z niego robotnicy przemysłu naftowego działu przetwórczego.

W dużej widnej sali stoją rzędem stoły, obok oszklone szafy z probówkami, mikroskopami i statywami. Jesteśmy w gabinecie technicznym — objaśnia nas dyrektor domu kultury kobieta-inżynier. Tu odbywają się przy udziale inżynierów kursy dokształcające pracowników i racjonalizatorów przetwórstwa naftowego. Tu mają miejsce dyskusje nad problemami produkcji nafty, tu starsi robotnicy dzielą się swymi doświadczeniami z młodymi.

W pięknej sali odczytowej odbywają się narady produkcyjne, pokazy filmowe a nawet wykłady dla rodziców jak powinni wychowywać dzieci. Wykładają najlepsze i kwalifikowane siły nauczycielskie. Frekwencja jest zawsze bardzo duża. W sali tej występują od czasu do czasu aktorzy znanych książek jak Ażajew, Popow, Babajewski. Zainteresowanie wieczorami literackimi jest bardzo wielkie. Miejscowi literaci przychodzą tu często



Świetlica Domu Kultury w kołchozie im. Budiennego foto — WAF

na wieczory autorskie, oni to zorganizowali z miejscowych robotników kółko literackie, które ma za sobą pokaźny dorobek.

Biblioteka domu kultury im. Lenina liczy 13 tys. książek. Biblioteka ma 13 filii - biblioteczek w terenie. Liczba czytelników wynosi 2.500. Przeciętnie dziennie korzysta z biblioteki około 100 osób.

Podziwialiśmy piękną salę kinową, klub szachistów, salę przodowników i racjonalizatorów pracy, salę teatralną na 1200 miejsc, klub dziecięcy, salę techniczną, sportową. Obok tego pałacu jest rozległy (19 ha) park kultury i wypoczynku.

Nie tylko miasta mają gęstą sieć placówek kulturalnych. Również wieś radziecka zagęszczona jest wielką ilością domów kultury, świetlic kołchozowych i „czerwonych kącików". „Czerwony Kącik" jest to ciekawa placówka, którą tworzy się w kołchozach nie mających świetlic, w fermach, MTS, w brygadach robotniczych. Mały pokoiczek, pięknie przybrany i udekorowany służy do zebrań aktywu, do narad wytwórczych przodowników pracy itd.

Piękne świetlice widzieliśmy w kołchozie „Chleborob", „Proletariacka Pobieda", „Pobieda" i w kołchozach im. Szaumiana. Występy zespołów artystycznych tych kołchozów stały na bardzo wysokim poziomie. Niektórzy z uczestników nie wierzyli, że są to miejscowi amatorzy-kołchoźnicy, ludzie, którzy niedawno odeszli od traktoru, z pola a potrafili tak śpiewać i tańczyć, że aż oczy nam się śmiały z podziwu.

W kołchozie „W pierod" buduje się dwupiętrowy dom kultury, który stanie się ogniskiem życia kulturalno - oświatowego tego rejonu. Kołchoźnicy z radością pokazywali nam rosnący z dnia na dzień swój przyszły klub, którym cieszą się w równym stopniu, jak świeżo założoną elektrownią.

W życiu domu kultury czy świetlicy bierze udział i młodzież i starsi. Dla starych mieszkanek kołchozu organizowane są tzw. „posiaduszki" na których zbierające się kobiety zajmują się robótkami ręcznymi, haftami i słuchają radia, lub prelekcji. Młodzi najchętniej uczęstniczą w chórach i zespołach artystycznych. Dom Kultury i świetlica czy nawet „czerwony kącik" to bardzo ważny czynnik w życiu kołchozu, sowchozu, czy MTS. Uświadamiają one, aktywizują, mobilizują członków kolektywu do walki o wykonanie planów gospodarczych, do podniesienia dochodu swojego kołchozu i całego państwa.

Są one kuźnią nowych pomysłów, kuźnią wychowujących się nowych kadr. Te kadry w oparciu o dom kultury i świetlice rewolucjonizują swoje środowisko, narzucając wszystkim styl życia radośniejszy, pełniejszy i pożyteczniejszy.

Aktywny członek świetlicy to przodownik pracy kołchozu czy fabryki. Rewolucja techniczna idzie w parze z rewolucją kulturalno-oświatową.

Stanisław Krakowiak

WOJCIECH DRYGAS

JAK CICHOCKI ZDOBYŁ ŚWIADOMOŚĆ KLASOWĄ

Chłop małorolny Teodor Cichocki ze wsi Bodzianowo miał trudności w uzyskaniu z gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska" materiałów budowlanych, niezbędnych do wyremontowania budynków mieszkalnego i inwentarskiego. Pozornie więc chodziło o rzecz drobną. O kawałek przeciekającego dachu chałupy i zmurszałe gonty wrastającego w ziemię chlewiku, w którym Cichocki trzymał krowę i dwa tuczniki, zakontraktowane przez gminną spółdzielnię.

Można by winić Cichockiego, że nie w porę pomyślał o remoncie; (okres przydziału materiałów budowlanych już dawno minął), gdyby nie pewne okoliczności, które sprawiły, że miejscowy bogacz wiejski Adamczak, pan na 32 hektarach, zabrał się także do oporządzania swego obejścia. Skąd Adamczak uzyskał cement, lepik, smołę i papę — było tajemnicą. Domysły i przypuszczenia prowadziły na podwórko gminnej spółdzielni, ale dowodów nie było żadnych.

Cichockiego aż trzęsło ze złości. Nie dalej, jak przedwczoraj, kierownik spółdzielni rozkładał bezradnie ręce i kazał czekać wiosny, gdy w tym samym czasie opasły Adamczak łaził po dachu z calówką, ciesząc się, że mu jeszcze papy starczy na pokrycie stodoły.

Nic więc dziwnego, że Cichockiego ruszyło i nazajutrz zrobił piekielną awanturę w zarządzie gminnej spółdzielni. Awantura nie zmieniła niczego na lepsze, zakrzyczano go i trzeba było gdzieindziej szukać sprawiedliwości. Cichocki postanowił przedstawić swoją sprawę na cotygodniowym zebraniu ogólnym w Powiatowej Radzie Narodowej.

Wyjazd do Kutna nie był wynikiem dojrzałego namysłu — raczej chwilowego splotu okoliczności i podrażnienia.

Zielony afisz rozlepiony na bramie głosił:

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kutnie zawiadamia, że każdego piątku w godzinach popołudniowych organizuje zebrania ogólne dla miejscowego społeczeństwa, na których rozpatrywane będą wszelkie sprawy, związane z potrzebami i bolączkami mas pracujących...

Cichocki odetchnął. Jednak ludzie mówili prawdę. W sali konferencyjnej kilkadziesiąt osób, z wyglądu robotników i chłopów przysłuchiwało się z zainteresowaniem wywodom Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, który rozstrzygał petycję koła gospodyń ze wsi Suchodębie.

Chodziło o zorganizowanie w gromadzie izby porodowej. Lokal, wyremontowany wspólnymi siłami mieszkańców wioski, był już gotów: trzy obszerne izby, biało malowane meble, dużo słońca i w oknach kwiaty. Za tydzień będą tam już rodzić dwie kobiety, a izba nie posiadała dotąd niezbędnych medykamentów i środków opatrunkowych. Na to nie wystarczyło gromadzie pieniędzy. Czekano również na przyjazd położnej i pielęgniarki, dopytywano się, czy będzie można korzystać z opieki lekarza.

Wyczerpującą odpowiedź Prezydium PRN, które z najgłębszą troską rozpatrzyło sprawę suchodębian, przyjęto gorącymi oklaskami. Izba porodowa miała niezwłocznie uzyskać niezbędne środki lecznicze i stałą pomoc lekarską.

Korzystając z chwilowego zgiełku Cichocki zerwał się z krzesła i złożył na stole prezydialnym karteczkę, upstrzoną niewprawnym, rozwlekłym pismem:

„Ja, Teodor Cichocki, małorolniak z gromady Bodzianowo, proszę o 11 rolek papy, 80 kg. smoły, 130 kg. lepiku i 300 kg. cementu, bo gminna spółdzielnia nie dała..."

Rozparłszy się z powrotem w wygodnym krześle, Cichocki ważył w myśli każde słowo, które za chwilę chciał wypowiedzieć jednym tchem, bez zająknienia. Ale rzecz dziwna, im składniej wiązał w zdaniu długą opowieść o przeciekającym dachu, którego nie miał czym naprawić, tym bardziej wydawała mu się coraz mniejszej wagi w sensie ogólnospołecznym. W przekonaniu tym umacniał się coraz bardziej, im ważniejsze zagadnienia podnosili uczestnicy ogólnego zebrania.

Sprawa budowy nowych studzien w Dąbrowicach była chyba ważniejsza od jego chałupy i chlewu. Tam chodziło o 120 ludzi, pozbawionych wody do picia. Zrozumiał to jeszcze wyraźniej, kiedy Przewodniczący PRN odczytał na głos treść listu, złożonego przez delegację chłopów dąbrowickich obok kartki Cichockiego.

„Budowa nowych studzień w Dąbrowicach od przeszło roku nie mogła dojść do skutku (pisali oni). Wysłuchani dwa tygodnie temu przez Powiatową Radę Narodową na zebraniu ogólnym, nie czekaliśmy dłużej na budowę studni, jak pięć dni. Takie same studnie otrzymały również dwie sąsiednie gromady: Rosinkowo i Marysin. Teraz rozumiemy w pełni, że Rada Narodowa wyłoniona z ludu, dla ludu tego walczy o postęp, o dobrobyt i nowe szczęśliwe jutro — o socjalizm".

List podobał się Cichockiemu. Podobało mu się również wystąpienie chłopów mało i średniorolnych ze wsi Strzelce Wielkie. Dwunastu spośród nich postanowiło założyć w swej gromadzie wzorowy chmielnik. Chodziło o to, aby agrotechnicy, specjaliści w tej dziedzinie, zbadali miejscowe warunki glebowe i udzielili zainteresowanym pierwszych instrukcji. Wysłana przez Powiatową Radę Narodową komisja rolna ustaliła na miejscu brak odpowiednich warunków, niezbędnych przy racjonalnej uprawie chmielu. Stwierdzono natomiast, że w Strzelcach Wielkich istnieją możliwości uprawy lnu i ziół leczniczych.

Mało i średniorolni plantatorzy słusznie ocenili znaczenie rozszerzenia tych upraw dla szybszej realizacji Planu 6-letniego. Zjawili się dzisiaj na zebraniu ogólnym, aby oświadczyć, że są gotowi zawrzeć kontrakty z gminną spółdzielnią i proszą komisję rolną o stałe kierowanie ich pracą.

Jeszcze Cichocki nie zdążył dobrze przemyśleć tego, co przed chwilą usłyszał, gdy, znajomy, siedzący opodal, trącił go w ramię.

— Wołają was, Cichocki, wstańcie...

Cichocki powstał z miejsca, czując w sobie wzrastające aż do gardła dławienie. Ale kiedy stanął przed stołem prezydialnym — i zaczął mówić — okazało się, że chodziło mu przede wszystkim o zaktywizowanie komitetu członkowskiego gminnej spółdzielni w Bodzianowie, która stała się zapleczem kułactwa. Kumoterskim nieporządkom w spółdzielni może przeciwstawić się nowy komitet, wyłoniony z najbardziej uświadomionych politycznie i społecznie chłopów mało i średniorolnych.

— Uświadomionych chłopów... — powtarzał kilkakrotnie Cichocki, myśląc o tym, że on sam był przecież członkiem istniejącego komitetu, ale podobnie jak inni zgnuśniał.

Nigdy jeszcze Cichocki nie widział tak wyraźnie, jak właśnie teraz, że nie wiele obchodziły go do dnia dzisiejszego losy organizowanej we wsi spółdzielni produkcyjnej, oszczekiwanej przez Adamczaka i kilku innych bogaczy. Złożył podpis Cichocki, złożyli podpisy inni biedniacy i sprawa utknęła na martwym punkcie — skończyła się na deklaracjach. Nie było komu ująć śmiało w ręce inicjatywy. A czy sami tej spółdzielni nie chcieli? Czy sami nie dopominali się o pomoc partii?

To że sprawa gminnej spółdzielni w Bodzianowie miała ścisły związek z zagadnieniem spółdzielczości produkcyjnej Cichocki zauważył dopiero w tej chwili. W obu przypadkach występowali kułacy czy to w roli kombinatorów przechwytujących materiały budowlane czy jako rozbijacze zebrań gromadzkich kiedy chodziło o przebudowę struktury gospodarczej.

Wyszczególniał w ten sposób zagadnienie po zagadnieniu sprawę po sprawie jakby dawno je segregował i poustawiał w czasie i przestrzeni. Nawet (o dziwo!) nie zapomniał o parobku Adamczaka chłopaczynie odgrodzonym od wolnego życia bez żadnych możliwości nauki i awansu społecznego. Publicznie zobowiązał się zająć sierotą i zainteresować jego losem powiatową organizację ZMP.

Kiedy skończył mówić i chciał schodzić z podium ze strony prezydium padło nieoczekiwane pytanie:

— A co będzie obywatelu Cichocki, z waszym lepikiem i papą?

— Z lepikiem? papą — zastanowił się Cichocki, jakby nie wiedział, czego chcą od niego i naraz potrząsnął głową. Sprawa lepiku i papy jest już załatwiona. On sam przecież znalazł jej rozwiązanie. Będzie to droga trochę dłuższa, ale skuteczna i trwała. Papa i lepik znajdzie się nie tylko dla niego, ale dla wszystkich mieszkańców wsi. Tylko zrobić porządki w gminnej spółdzielni i odsunąć bogaczy poza nawias istnienia. Bo z remontami rzeczywiście trza się pośpieszyć, aby wnieść do spółdzielni produkcyjnej porządnie opatrzony dobytek.

Wojciech Drygas.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-50 Tel. Redakcji 751-80 do 89 wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OŚW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKC Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik" Marszałkowska 3/5
B-127731

Listy z terenu

JOLANTA NOMERSKA

KADRY ARTYSTYCZNE ZE WSI

W poprzednim numerze tyg. „Wieś" ukazał się artykuł Leokadii Kosiniak „O kadrach artystycznych". Autorka zastanawia się nad trudną drogą, jaką musi przejść wiejski uzdolniony narybek plastyczny, aby zdobyć odpowiednią wiedzę i przygotowanie do samodzielnej pracy twórczej. Twierdzi, że jednym z koniecznych etapów tej drogi jest ukończenie liceum plastycznego typu ogólnego (podaje jako przykład „najazd" na Liceum sztuk plastycznych w Krakowie kilku koleżanek i kolegów z jej rodzimnej wsi Zalipie) a ponieważ ilość stypendiów na ten typ liceów jest określona t.zn. ograniczona, autorce wydaje się, że w rezultacie droga rozwinięcia talentów plastycznych dla niezamożnej młodzieży chłopskiej jest mało dostępna. Zdaniem autorki narasta poważne zagrożenie niewykorzystania i zmarnowania twórczych talentów tak potrzebnych krajowi „w budowie sztuki socjalistycznej". Czy słuszny jest ten alarm? Wydaje mi się, że nie. Wyjdźmy z przykładu autorki. Dlaczego pięcioro jej rówieśników uczyniło najazd na krakowskie plastyczne liceum (ogólnokształcące)? Wyszli za przykładem autorki z tej samej wsi Zalipie. Wieś to, jak opisywała kiedyś we „Wsi" Kosiniak, o dużych tradycjach artystycznych, ale właśnie *jakich?* Czy tylko i przede wszystkim malarstwa sztalugowego? Otóż nie: malowanie ścian, malowanie dekoracyjne, stylizowane, ludowe, malowanie pieców, sufitów, ław, kurników nawet psiej budy. Nadto makatki, dywany, wycinanki, ozdoby z szyszek i fasoli, haft. Powtórzmy raz jeszcze, wielostronna sztuka dekoracyjno - użytkowa, to tradycja Zalipia! Zatem tych pięcioro uzdolnionych plastyków powinno się raczej rozbiec po liceach technik plastycznych, które przygotowują w ramach ścisłej specjalizacji artystyczno-użytkowej dla potrzeb różnych gałęzi przemysłu i rzemiosła. Oto drogi dla kolegów Kosiniak i dla wszystkich młodych talentów, pojawiających się na wsi. Wiele dróg — t.zn. perspektywa rozwoju wielu gałęzi plastyki w służbie piękna użytkowego, tej najistotniejszej tradycji artystycznej Zalipia. Wiele dróg — t.zn. i wiele stypendiów. Właśnie licea technik plastycznych są już dziś oparte na bursach i stypendiach, a jest ich wiele i o bogatym zakresie. Na poparcie wymienię kilka:

tkactwo mech. z desynatorstwem, technika rzeźbiarska — Bielsko Śl.

poligrafika, tkactwo, introligatorstwo — Bydgoszcz,

drobna galanteria, metaloplastyka — Częstochowa,

techniki rzeźbiarskie, metaloplastyka — Katowice,

rzeźba, stolarstwo, introligatorstwo, tkactwo, fotografika — Kielce,

tkactwo mech, z desynatorstwem, introligatorstwo — Łódź,

tkactwo, ceramika, koronkarstwo — Sędziszów Małopolski,

rzeźba w drzewie — Nałęczów,

tkactwo, meblarstwo — Tarnów,

metaloplastyka, koronkarstwo — Wiśnicz Nowy.

stolarstwo — Nałęczów.

Do liceów Technik Plastycznych są przyjmowani absolwenci 7-klasowej szkoły podstawowej na podstawie egzaminu wstępnego, stwierdzającego uzdolnienia plastyczne kandydatów oraz ich odpowiedni rozwój umysłowy. Nauka trwa 5 lat. Licea są dwustopniowe. I — stopień obejmuje 3 lata nauki. Po ukończeniu pierwszego stopnia uczniowie otrzymują uprawnienia czeladników. Po ukończeniu liceum II stopnia uczniowie zdają egzamin dojrzałości, otrzymują tytuł technika (w danej specjalności) i mają też prawo wstępu na wyższe uczelnie.

Ale i na tym nie kończą się jeszcze możliwości młodych talentów plastycznych ze wsi. Sprawa podstawowa to ich dalsze kształcenie się po szkole powszechnej. Niech pójdą do szkół zawodowych: przemysłowych, rolniczych. Tu stypendia i bursy czekają. Ładnie pisze Kosiniak, że dla rozwoju sztuki soc-realistycznej „potrzeba łączności z masami ludowymi; kto może najłatwiej odnaleźć tę drogę w twórczości? Młodzież robotnicza i chłopska". A w szkołach zawodowych: przemysłowych i rolniczych straci tę łączność, czy zacieśni i wzmocni? W powiązaniu z fabryką, z klasą robotniczą, która rozwija racjonalizatorstwo, socjalistyczny wyścig pracy, w powiązaniu z chłopstwem mało i średniorolnym, które toczy walkę z kułakiem, które tworzy spółdzielnie produkcyjne. Myślę, że utalentowani malarsko abiturienci szkół zawodowych zostaną „odstąpieni" przez CUSZ Akademiom Plastycznym, właśnie dla sprawy rozwoju naszego życia gospodarczego, naszego planu sześcioletniego i budowy socjalizmu na wsi.

Oto, jak pokazałam, wiele istnieje dróg dla utalentowanych plastyków ze wsi. I ta ostatnia nie jest zła. Ona umacnia klasową i socjalistyczną więź młodych talentów wiejskich z bazą naszych rewolucyjnych przemian.

Daje gruntowną, szczegółową wiedzę, wieloletnie zżycie i umiłowanie. Na takim gruncie wyrośnie sztuka, która nie będzie obca klasowo i inteligencko dyktancka wobec tworzywa i treści pracy klasy robotniczej i chłopstwa, wchodzącego na drogę uspołecznienia.

L. Kosiniak ma jeszcze jedną wątpliwość. Czy wyższe studia plastyczne (Akademie, gdzie sama się znajduje) nie grożą absolwentom bezrobociem? Czy znajdą oni „trwałe oparcie" to zn. pracę? „Dobrze byłoby — pisze autorka — mieć pewność". A wstyd! W tym pytaniu wyraża się niezrozumienie naszego planu 6-letniego w ogólności, a w zakresie kadr w szczególności. Przecież my szkolimy na akademiach studentów nie dla ich subiektywnej tylko satysfakcji. Ilość studentów jest tu określona minimum zapotrzebowania przez Plan 6-letni.

Ukończenie uczelni artystycznej każdego typu daje taką samą gwarancję otrzymania warsztatu pracy jak i ukończenie każdej innej uczelni typu humanistycznego czy politechnicznego.

Uchyliłam dwie podstawowe wątpliwości L. Kosiniak. Jak widzicie, nie o tem należało pisać, Koleżanko. Od Was kiedy, wprost z Zalipia dostaliście się do Akademii, oczekiwać należało innego apelu. Tak, jak mnie odkryto (przez konkurs) w Zalipiu, tak odkrywajmy uporczywie talenty malarskie i plastyczne na wsi w całej Polsce — taki powinien być Wasz apel. I to nie byłoby już wołanie w imieniu „Janków Muzykantów". Tamci byli ukryci dla kapitalizmu. I tamtych potrzeba było tylko „trochę". Nam potrzeba jak najwięcej, wszystkich i my przez koła ZMP. możemy wiedzieć o wszystkich! Koła ZMP na wsi winny informować powiatowe i wojewódzkie zarządy oraz kuratoria o miejscowych talentach artystycznych. Tym zadaniem należy je obarczać. A robotnicze koła ZMP w większych miastach, gdzie są licea technik plastycznych, gdzie są ogniska plastyczne mogłyby (w akcji pomocy kolegom ze wsi) znaleźć utalentowanym miejsce pracy i w ten sposób stworzyć jeszcze jeden rodzaj warunków, umożliwiających zdolnym plastykom ze wsi artystyczne szkolenie i dokształcanie.

Jolanta Nomerska

LESZEK GOLIŃSKI

WNIOSKI Z DOŚWIADCZEŃ

Gdzie leżą błędy organizacyjne wieczorów literackich?

Po pierwsze — imprezy, będące pod nadzorem ORZZ — tu zasadniczo nie miały wytyczonej uprzednio tematyki. Często wyjeżdżał w teren literat, jeszcze częściej członek-kandydat Związku, którego twórczość nikomu dotąd prawie nie jest znana i wygłaszał fragment swego zazwyczaj nieopublikowanego jeszcze utworu. Oczywiście zarówno wartość ideologiczna, jak artystyczna podjętego wystąpienia mogła stać pod znakiem zapytania. W uświadomionym środowisku robotniczym niefortunne próby bywały zawsze i z miejsca ostro napiętnowane przez samych robotników. W środowisku wiejskim, mniej przygotowanym, może być gorzej, może się zdarzyć, że mętne wypowiedzi autora podczas dyskusji uczynią więcej złego, niż intensywna, wroga klasowo propaganda, gdyż podważają zaufanie chłopa, albo doprowadzają go do zupełnie fałszywych sądów. Byłem sam świadkiem, jak w pewnej miejscowości uzdrowiskowej wobec kilkuset zgromadzonych chłopów prelegent-literat mętnie tłumaczył przyczyny klęski wrześniowej, które to zagadnienie zresztą niewiadomo dlaczego wypłynęło podczas dyskusji.

Trzeba przyznać, że Towarzystwo Wiedzy Powszechnej wprowadza w życie organizację wieczorów literackich, określając konkretną tematykę i zapoznając się z fragmentami utworów, które mają być odczytane. Zdarzają się jednak wypadki, że poszczególne ogniwa terenowe, zahypnotyzowane nazwiskiem literata, kierują go w teren bez uprzedniego uzgodnienia. I znów przykład: przesadne w opisie odmalowanie trudności przy zakładaniu pewnej spółdzielni produkcyjnej, przytaczanie argumentów wrogów klasowych, kułaków — wywoływało na sali zduszone śmiechy i potrącania łokciami. Po takiej wizycie literata niejednokrotnie pójdzie na marne wielomiesięczna praca ekip łączności...

Po drugie: wieczory nie są zorganizowane technicznie. Po prostu nie bardzo wiadomo, kto je ma na wsi organizować. Pomimo uprzedniej wizyty instruktora, pomimo rozklejonych afiszy (w gminie) często sale świecą pustkami, gdyż afiszy nie czytano, a nikt nie pokwapił się osobiście zawiadomić chłopów. Jeszcze pół biedy z takimi wsiami, gdzie znajdują się PGR-y lub spółdzielnie produkcyjne. We wsiach nieuspołecznionych i nieuspółdzielczonych literat bardzo często przemawia do gromady dzieciaków, które na sali zabawiają się w łapankę. Oczywiście impreza taka jest chybiona i ogranicza się do pobrania honorarium za występ i do odnotowania, że taki a taki wieczór literacki jednak się odbył.

Organizacja odczytów popularyzatorsko - oświatowych postawiona jest znacznie lepiej. Potężną siłą atrakcyjną jest film, prelegenci posiadają gotowe teksty, zaaprobowane i starannie przygotowane, instruktorzy działają dosyć sprawnie. Ale i tu we wsiach, mniej uspołecznionych, zdarzają się wypadki całkowitego fiaska imprezy, a brak należytych środków komunikacji doprowadza do opóźnień, co z kolei podrywa zaufanie do akcji odczytowej i trudno potem naprawić raz wyrządzone zło. Prawdziwą plagą referentów — chyba wszyscy oni temu przyklasną — są gromady dzieciarni, zwabione filmem, niesforne i rozbrykane na sali. W rezultacie dorośli nie mogą wysłuchać odczytu, a prelegent zrywa sobie gardło i traci cierpliwość. Brak czynnej postawy ze strony wsi, brak jednego organizatora, odpowiedzialnego za stan sali i przygotowanie imprezy na miejscu — jest źródłem wielu niepowodzeń.

Z własnych doświadczeń wiem, że prelegent musi często jednego dnia obsłużyć trzy wsie, oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów. Brak należytych środków lokomocji, najdrobniejsze przeoczenie czy zapomnienie może zburzyć porządek dnia. Rezultat jest opłakany: albo ludzie czekają na prelegenta, albo prelegent na słuchaczy. Zdarzają się i takie wypadki, kiedy sołtys robi wielkie oczy i okazuje się, że nikt o mającym się odbyć odczycie nie wiedział...

Nie od razu Kraków zbudowano. Olbrzymia machina, jaką jest akcja odczytowa na wsi, musi się dopiero rozkręcić, musi nabyć pewien zasób doświadczeń, technicznych usprawnień. Akcja propagandowa planu sześcioletniego spełniła i spełni ogromną rolę. Organizowane obecnie akcje przebiegną niewątpliwie pomyślniej. Warto zastanowić się nad utworzeniem powiatowych kół prelegentów, skoro wojewódzcy nie wszędzie mogą dojechać na czas.

Dużo uwag nasuwa również współpraca z filmem. Krótkometrażowe i wąskotaśmowe filmy nie zawsze spełniają należycie swoją rolę. Akcja propagandy planu sześcioletniego połączona była bardzo często z wyświetlaniem krótkometrażówki — bardzo zresztą popularnej — o odbudowie Warszawy p.t. „Szeroka droga". Kopie tego filmu były często tak złe, że publiczność wiejska opuszczała z niezadowoleniem salę: innym razem napięcie prądu nie zawsze dostosowane do aparatów projekcyjnych, brak należytego zaciemnienia sali lub ekranu. Prowizorium nie zawsze bywa rzeczą przypadku: częściej wypływa z czyjejś winy, z czyjegoś karygodnego przeoczenia.

Partia udziela w terenie prelegentom życzliwej, wszechstronnej pomocy. Ale brak często tej pomocy ze strony organów administracji terenowej, ze strony gminnych rad narodowych, ze strony zarządów spółdzielni produkcyjnych i Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Garść powyższych faktów zebrana jest z terenu tylko jednego województwa. Nie mniej są one typowe i dlatego można i należy je generalizować, gdyż środki zaradcze przydatne będą również na każdym terenie. Równolegle z tempem rozwoju ekonomicznego wsi, z rozwojem środków produkcji wsi polskiej, z przemianą jej stosunków produkcji — iść musi wszechstronna akcja, podnosząca świadomość mas na wyższy stopień, podnosząca poziom kulturalny jej mieszkańców. Rozwój radiofonii przewodowej, zagęszczająca się sieć kin wiejskich, periodyczne odczyty i wieczory literackie — równolegle ze wzrostem stopy życiowej mieszkańca wsi — umożliwią przeprowadzenie jej socjalistycznych przeobrażeń. Dziesiątki literatów, setki i tysiące prelegentów TWP — staje się dzisiaj awangardą nowego jutra na wsi. Usprawnienie ich pracy, udoskonalenie metod upowszechniania oświaty i kultury jest naczelnym zagadnieniem, domagającym się jak najszybszego rozwiązania.

Leszek Goliński

WŁADYSŁAW UDALSKI

JESZCZE W SPRAWIE KADR LITERACKICH

Osobiście zainteresowany, pilnie śledzę rozwój naszego życia literackiego i nie mogę oprzeć się wzruszeniu, kiedy biorąc do ręki ostatnie numery „Wsi" spostrzegam całe kolumny wypełnione pracami ludzi, którzy wyrośli z terenu i dyskutując nad palącymi problemami udziału literatury w realizacji Planu Sześcioletniego mówią o potrzebach, nadziejach swojej klasy.

Dzisiaj kiedy nasz kraj burzliwie i z zapałem buduje szerokie zręby socjalistycznej przyszłości, kiedy ustawicznie trzeba uczyć się nowego, by nadążyć rozmachowi naszego budownictwa, robotnik czy chłop bierze powieść czy wiersze po to, by się utwierdzić w przekonaniu, że jego trud jest słuszny, że trud ten ma swój głęboki ludzki sens i ma swoje piękno. Pisarz ludowy dlatego musi być niesłychanie czujny na przemiany zachodzące w świadomości mas pracujących. Aby przedstawić klasę robotniczą, trzeba ją znać, trzeba z nią walczyć aktywnie o Plan, o Socjalizm. Gdy chłop czy robotnik chwyta za pióro, gdy pragnie swoje doświadczenia upowszechnić drukiem, gdy wzrusza go głęboko walka o te wartości, jakie zawierają się w słowie socjalizm i gdy dla tego wzruszenia szuka trafnego wyrazu — wówczas od redakcji, do której jego prośba zawędruje, może dużo zależeć, czy z pierwszych nieudolnych jeszcze wierszy nie wyrośnie pisarz. Redakcja w tej sytuacji musi wykazać dużo dobrej woli i dużo czujności, bo nie zawsze nieudolność tyle znaczy, co grafomania.

Bardzo odpowiedzialna a w większości pism zaniedbana jest praca redakcji literackich nad początkującym pisarzem, mimo, że na obecnym etapie organizowanie kadr posiada istotne znaczenie. Bardzo słusznie zauważył kol. Skulski w swojej wypowiedzi o kadrach, że naszym młodym talentom jest potrzebna *pomoc marksistowska*. Początkującemu należy błędy wytykać otwarcie, by poznał, że pod surową niekiedy krytyką kryje się głęboka troska o jego poprawny rozwój pisarski. W celu konkretyzowania możliwości pisarskich — sądzę — bardzo przydatne jest nawet podsumowanie pewnych tematów związanych ściśle z jego własnymi doświadczeniami życiowymi. Chodzi o doprowadzenie świadomości do tego stopnia rozwoju, w którym czujność ideologiczno-artystyczna na tyle się zaostrzy, że młody pisarz bez większych trudności uchwyci polityczny sens otaczających go zjawisk.

Sądzę, że nie należy zbyt pochopnie drukować prac nadsyłanych, o ile nie odpowiadają przynajmniej minimalnym wymaganiom. Druk wiersza czy prozy winien być zapłatą za ciężki trud, winien zaostrzyć odpowiedzialność za to, co się pisze i mobilizować do wyższych osiągnięć. Każdy poeta czy prozaik winien pamiętać o tym, że jego wiersz czy proza bardzo często może posłużyć jakiemuś kołu zetempowskiemu — mówiąc przykładowo — do celniejszego oświetlenia skomplikowanych zagadnień współczesności, może być celnym pociskiem trafiającym we wroga klasowego. Sam kiedyś podczas pracy w wieczorowej szkole politycznej ZMP szeroko korzystałem z materiałów konkursu na reportaż o wsi.

Bardzo potrzebne byłoby wskazywanie — w zależności od rozwoju intelektualnego — lektury ideologicznej i literackiej. Kto wie czy nie słuszne byłoby moralne zobowiązanie do znajomości postępowej literatury przeszłości i współczesnej. W Czechach i w Niemieckiej Republice Demokratycznej istnieją w oragnizacjach młodzieżowych odznaki za dobrą wiedzę, sądzę, że u nas dopóki nie zainteresuje się tym ZMP i nie wprowadzi w swoich szeregach, młodzi literaci winni, bez odznak oczywiście, moralnie — niejako z racji zawodu — wykazać się uporządkowanym zasobem kultury literackiej. Redakcja powinna sprawować kontrolę nad rezultatami tej pracy. Byłaby to jeszcze jedna forma pomocy, szczególnie efektywna na wsi, gdzie wiele młodych talentów nieraz nie wie od jakich wzorów zaczynać.

Moje uwagi wypływają w dużej mierze z własnego doświadczenia i potrzeb w tym kierunku. Pisać zacząłem już dawno. Nikt mi jednak nie pomagał tak, bym z tej pomocy wynosił realne korzyści. W szkole traktowano to jako pewnego rodzaju manię, która przeminie, chociaż może to i była mania właśnie dlatego, że nie było planu, pomocy i odpowiedniego nastawienia.

Kiedy na początku 1949 r. zdecydowałem się wysłać swe próby do ówczesnej „Kuźnicy" odpowiedziano mi stereotypowo: „nie wykorzystamy". Jakby mnie kto zimną wodą oblał. Wcale nie pragnąłem druku, chciałem się jedynie dowiedzieć o wartości tych prób i możliwościach na przyszłość, względnie uzyskać jakieś wskazówki. Przestałem pisać, bo po co bezużytecznie zawracać sobie i komuś głowę. Sądzę, że wielu chwytających się za pióro spotka się z taką „przyjemnością". Że zacząłem znowu pisać i będę pisać to wpływ życia, które szturmem często zdobywa człowieka, i opieki, z jaką spotkałem się w redakcji „Wsi", za co dziękuję.

Władysław Udalski